Nr. 3. Lwów, dnia 20. marca 1896. Rok XIX.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 6 złr., 5 rs., 12 franków. | ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO. | WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Hr. Józef Potocki na Cejlonie.

W polskiej literaturze łowieckiej tak rzadkiemi są sprawozdania z wycieczek łowieckich w inne części świata, że z prawdziwą radością chwyta się do rąk dzieło, które świeżo w Warszawie wydane zostało. Nosi ono skromny tytuł „Notatki myśliwskie z dalekiego Wschodu*),“ ale mieści w sobie przepyszne opowiadania z dwóch wypraw myśliwskich, jednej do Indyi (tom I.) drugiej na wyspę Cejlon (tom II.), spisane przez Józefa hr. Potockiego.

O pierwszem sprawozdaniu z wycieczki do Indyi, którą hr. Potocki odbył w r. 1890, mieliśmy już sposobność pisać. Wkrótce po powrocie do kraju, wydał był hrabia w małej ilości egzemplarzy, tylko dla znajomych, „Notatki myśliwskie z Indyi“ (Kraków 1891), w których dał się odrazu poznać jako wyborny a ścisły opowiadacz, kreślący wszystko co widział jasno a barwnie, władający wybornie językiem, i umiejący nietylko budzić interes swem opowiadaniem, lecz także podawać cenne skazówki myśliwym, którzyby większe wycieczki łowieckie podejmować pragnęli. Z „Notatek“ tych zamieściliśmy w swoim czasie („Łowiec“ 1891) obszerniejsze wyciągi, które jeszcze niezawodnie tkwią w pamięci naszych czytelników.

Dziś „Notatki“ te wypełniają pierwszy tom dzieła, o którem mówimy, i są z prawdziwym przepychem wydane.

W drugim tomie podaje hr. Józef Potocki poraz pierwszy opis swej wyprawy myśliwskiej, którą w lutym i w marcu w towarzystwie swej żony odbył na wyspę Cejlon.

Jeżeli już „Notatki z Indyi“ zwróciły na siebie w pierwszem wydaniu powszechną uwagę nietylko myśliwych, lecz w ogóle czytającej publiczności polskiej i były z rąk do rąk rozchwytywane — to w wyższym jeszcze stopniu zasługuje na to opowieść z wyprawy na Cejlon. Powtarzają się tu wszystkie zalety opowiadacza spokojnego a ścisłego, który umie przyrodę obserwować, a barwność obrazów i budzenie interesu spotęgowane są tem, że podróżnika otacza najwspanialsza na świecie przyroda „rajskiej wyspy“, a przygody łowieckie bardziej są urozmaicone i dramatyczne. Siadłszy do czytania, trudno się poprostu oderwać od książki, bo czytelnik sam nie wie, jak czuje się wprowadzonym w zaczarowaną naturę dalekiego Wschodu, oddycha wraz z autorem tropikalnem powietrzem wyspy, słyszy wraz z nim huk oceanu, rozbijającego się falami o skały nadbrzeżne, przebiega wraz z nim przepyszne „dżungle“ i zapiera w sobie oddech, gdy przychodzi do spotkania z kolosami tropikalnej fauny....

Hr. Potoccy opuścili Europę wraz z braterstwem d. 6. stycznia 1894, wsiadłszy na parowiec Lloyda w Tryeście·

*) Józef hr. Potocki. Notatki myśliwskie z dalekiego Wschodu 2 tomy in 4⁰ z ilustracyami Piotra Stachiewicza. Warszawa. Gebethner i Wolff 1896. Z drukarni L. Anczyca i Ski w Krakowie.

Przeprawa nie była dość łatwą, więc dopiero d. 10. stycznia zawinęli do Port-Said i tego samego dnia dostali się do Kairu. W Kairze i w Egipcie bawili wszyscy do 27. stycznia, poczem nastąpiło rozłączenie. Hr. Józefowie Potoccy wrócili dnia tego do Suezu i stamtąd parowcem „Caledonien“, należącym do francuskiej linii „Messagerie Maritimes“ odpłynęli de Colombo na wyspie Cejlon, zatrzymawszy się po drodze w Adenie. Podróż, wynosząca 6377 kilometrów, trwała dni jedenaście.

Życie i towarzystwo w czasie podróży do Egiptu i z Egiptu do Colombo, pobyt w Egipcie i pierwsze dni pobytu w Colombo, opowiada autor z lekkością i barwnością turysty, markując rzeczy rysami charakterystycznymi i przesuwając przed oczami czytelnika obrazki, które niema tyle interesują co sama podróż.

W Colombo — które, mówiąc nawiasem, jest dziś dużem i cywilizowanem miastem portowem angielskiem, przerastającem znacznie co do liczby mieszkańców i świetności właściwą stolicę wyspy, Kandy — strawiono 6 dni na przygotowaniach do wyprawy. Więc najpierw, z rekomendacyi pana v. Radena, Węgra rodem, właściciela pierwszego hotelu w Colombo, umówił hr. Potocki na przewodnika wyprawy i głównego „shikar'ego“, doświadczonego sportsmana Syngaleza za, nazwiskiem Soult. Że zaś już z Kairu przywiózł był ze sobą murzyna imieniem Fereka, Sudańczyka, który służył był w wojsku pod Wissmanem i wiele miał wprawy i sprytu do tego rodzaju wypraw — więc podstawa do utworzenia świty była daną. Uzupełniono ją tedy Syngalezką pokojówką do usług hrabiny, kucharzem i kucharczykami, „kulisami“ do noszenia pakunków i t. d. i wzdłuż zachodnio-południowych wybrzeży, przez Point-de-Galle i Hambantotę, udano się w „schooting-grounds“, stanowiące bezmierny obszar najdzikszych i najodludniejszych „dżungli“.

Wyprawy na wyspę Cejlon nie należą do rzadkich. Szczególniej Anglicy chętnie się tam udają w celu polowań na słonie. Nawet hr. Potocki w czasie bytności swej na Cejlonie spotkał się był z wyprawą jakiegoś lorda Cairns, który także w celach myśliwskich po wyspie rajskiej podróżował. Znane są relacye sir'a Samuela Bakera, który 50 słoni na Cejlonie ubił, piękny opis wyprawy myśliwskiej ks. Ernesta Koburskiego, a w ostatnich czasach, bo w r. 1893, polował na Cejlonie arcyksiąże Franciszek Ferdynand d'Este i także wrażenia i przygody swe opisał.*) Podobnie wszakże jak arcyksiążę austryacki i sir S. Baker, polowali i inni podróżnicy przeważnie w środkowej, górskiej części wyspy, na północ od Kandy, koło Dambulu, zapuszczając się aż do jezior Kalewawy.

Dzikie dżungle w południowej części Cejlonu były mniej zwiedzane i opisywane, może dlatego, że wyprawa do nich jest z większymi trudami i niewygodami połączona a okolica odludna i zanadto może jako niezdrowa osławiona.

Otóż trudom tym i niewygodom, kilkunastodniowym marszom po pustyni bez dróg i życiu obozowemu pod namiotem poddali się hr. Potoccy, i dlatego opis tej wyprawy wśród dziczy, zdala od wszelkiej kultury cywilizacyjnej, owiany jest romantycznym urokiem. A dodać jeszcze należy, że jeźli się nie mylimy, jest to pierwsza wyprawa myśliwska Polaka na Cejlonie i pierwszy opis tamtejszego świata, płynący z pod pióra polskiego.

I pod względem łowieckim była ta wyprawa szczęśliwą. Hr. Potocki, prawdziwie po myśliwsku, żywił całą świtę z swej strzelby, i nieraz się zdarzyło, że nie dla miłości sportu, lecz dla dostarczenia świeżego mięsa kuchni obozowej, ruszać musiał w dżungle. Na trofea wyprawy złożyły się: dwa słonie, pięć bawołów, trzy jelenie sambury, dwa jelenie axis, dwa odyńce, sporo drobnej zwierzyny, mały zbiór ptaków, a między tymi dzikie pawie, koguty, podobne do naszych domowych, czaple i tak rzadkie egzemplarze jak dzióborożec *Buceros bicornis*, wreszcie kolekcya pysznych motyli i owadów. „Wynik przeszedł najśmielsze moje oczekiwania“ — dodaje autor „Notatek“.

Lecz nie dalibyśmy czytelnikowi żadnego wyobrażenia o naturze „rajskiej wyspy“, o bajecznem zaiste bogactwie jej zwierząt i o uroku opowiadania autora, gdybyśmy choć parę ustępów z samego dzieła nie przytoczyli. Idźmy więc za naszym łowcem do obozu pod Butawą i pozwólmy mu samemu opowiadać.

* * *

„Rankiem wyruszyłem z obozu ze zwykłą świtą tropicieli i kulisów pod wodzą Soulta, i niebawem natrafiliśmy na pasącą się na otwartej halawie leśnej dużą bawolicę z młodem. Gdy je podchodzić zacząłem krajem gąszczu, wypadł przede mną z klombu akacyi ogromny jeleń sambur z rozłożystymi rogami; ulegając pokusie zdobycia ładnego trofeum, poświęciłem bawoły i strzeliłem do umykającego sambura. Strzał miałem niewygodny, w zad zwierzęcia, i dym mnie zaszedł, odbierając możność posłania drugiej kuli. Jeleń skręcił i znikł w gąszczu, lecz obfita farba świadczyła, że kula nie chybiła celu.

Rozpoczęło się mozolne szukanie postrzałka. Z początku farba lała się obficie, i przedzierając się za śladem w zwartym jak ściana gąszczu, doszliśmy do leżącego w kałuży farby zwierzęcia. Pomknął jednak o krok przed nami i dalej ruszył.

Chodzenie za postrzałkiem w dżungli cejlońskiej, równie jak w indyjskiej, jest niesłychanie trudne i rzadko się kończy dodatnim rezultatem, chyba że zwierz legnie tuż obok miejsca postrzału. Raz zboczywszy ze słoniowych traktów i zwyczajnych ścieżek, — choć leź na czworakach. Dżungla jest tak straszliwie gęsta, zbita w taką ciemną masę nierozerwalnie pokręconej i kolczastej roślinności, że nawet wprawni krajowcy z trudnością i niechętnie dają się namówić do długiego śledzenia postrzałka. Farba szybko na ranie zasycha i po pierwszej półmili zazwyczaj ustaje.

Jeleń tymczasem wciąż przed nami się posuwał; słyszeliśmy go kilkakrotnie, lecz zoczyć nie zdołali.

Przeraźliwy kwik jakiegoś mniejszego zwierzęcia, prawdopodobnie warchlaka, oderwał nas na chwilę od tropu jelenia. Podbiegliśmy skąd głos dochodził, lecz za późno przybyli na miejsce zbrodni; jeden tylko z biegnących przodem Syngalezów ujrzał umykającego w gęstwinie lamparta z warchlakiem w pysku.

Takich krwawych dramatów rozegrywają się tysiące codziennie w tajemniczem łonie dżungli. Zacięta walka o byt i prawo silniejszego stanowią i w tym świecie zwierząt różnorodnych główne aksyomaty egzystencyi. Jeden żyje z drugiego, mocniejszy czyha na słabszego, i tak idzie od góry aż do dołu po całej skali niezliczonego szeregu stworzeń żyjących.

Tylko jeden słoń, jak istny monarcha tych leśnych przestworzy i ich mieszkańców, kroczy poważnie przez te obszary, nie nastaje na nikogo i nikt jego zaczepić się nie ośmiela.

Lecz wróćmy do jelenia. Po trzygodzinnem daremnem i nader męczącem śledzeniu, wolałem zwrócić się ku obo-

*) Patrz „Łowiec“ z r. 1893 nr. 7.

zowi, zostawiając Soulta i kilku kulisów celem dalszych poszukiwań.

Puściłem się z powrotem z Ferekiem i Maulanem, który miał mnie prowadzić. Lecz niebawem zauważyłem, że drogę zmylił i kręcił ścieżkami, nie odchodząc od miejsca. Kilka godzin stary niedołęga wodził mię po dżungli, nim Ferek wpadł na koncept wdrapania się na drzewo wysokie, by z punktu dominującego nad nizką dżunglą, niby z obserwatoryum się rozpatrzeć, jaki kierunek drogi wybrać nam wypada.

Kierunek wiatru w wypadkach zbłądzenia w tej okolicy pomocnym być może, bo wiatr ciągnie niemal zawsze od morza, a tem samem służy jako wskazówka, gdzie się brzeg morza znajduje. Nie widziałem kniei, w którejby myśliwy więcej na wiatr zważać musiał, niż tutaj, szczególnie polując na słonie. Traker nieustannie bada jego kierunek, puszczając z ręki szczyptę drobnego piasku, czułego na najlżejszy podmuch wietrzyka.

Dobiliśmy się do jakiegoś piaszczystego koryta napół wyschłej rzeki i kombinując, że ona ku morzu płynąć musi, a zatem w końcu doprowadzi nas w stronę Butawy, postanowiliśmy trzymać się jej kierunku.

Natrafiliśmy w tych peregrynacyach na wylegiwającego się w słońcu nad brzegiem jeziorka alligatora kolosalnych rozmiarów; nie miałem wogóle wyobrażenia, że takie monstra egzystują. Grube jego cielsko czerniało jak zgniła kłoda potężnego drzewa; ogromny łeb był zakończony śpiczastą paszczą potwornych rozmiarów, a gdy dźwignął się na nogi, aby do wody umknąć, wysoki stał jak jałówka. Nie mając strzelby pod ręką, straciłem sposobność strzału do tego smoka o kształtach jakby z przedpotopowej epoki, o którego krewniaku afrykańskim tak trafnie wyraził się Sienkiewicz, że uosabiać się zdaje plugawe i ślepe okrucieństwo.

Słońce miało się już ku zachodowi, gdy dowlokłem się nareszcie do obozu, tak okropnie zziajany i znużony, jak nigdy przedtem ani potem w ciągu całej wyprawy.

Dziś czwarty dzień jej mija, a ze słoniem dotąd na strzał się nie spotkałem. Mimowolnie przychodzą mi na myśl tygrysie zawody w Indyach i ujemny pod tym względem rezultat indyjskich mych łowów. Pocieszam się jednak myślą, że kiedy w Indyach tylko jeden tygrys w ciągu polowania do namiotu nam się nawinął, tutaj jesteśmy w środku najlepszych rewirów i mnogie ślady gruboskórców świadczą o znacznej ich ilości.

Trudno przeprowadzić paralelę między dżunglą cejlońską a indyjską ze stanowiska terenu dla myśliwego; wszystko niemal zależy od okoliczności, tej lub owej wyprawie towarzyszących.

Indyjska dżungla, rozsiana po całym obszarze ogromnego kontynentu, stosownie do regionów, w których się znajduje, tak jest różnorodna, i pod względem ilości i jakości zwierzyny tak rozmaita, że się nie daje zgeneralizować ogólnymi wyrazami tych lub owych przymiotów. Różnorodność zwierza w Indyach jest niezaprzeczenie większa, fauna wogóle bogatsza i najlepsze rewiry Hindostanu pozostawiają daleko za sobą dżunglę cejlońską. Zważywszy jednak trudność dostania się do nich, wolę być na Cejlonie w sercu najlepszych na wyspie rewirów, niż w ogromnych obszarach indyjskich, gdzie zwierz przerzedzony i urządzenie polowania od wielu warunków niezawisłych od myśliwego zależy.

Soult powrócił bez jelenia, który przepadł, jak wogóle ginie dziewięć dziesiątych postrzałków w tych sferach".

Następny dzień był szczęśliwszym. Oto relacya, spisana pod datą 22. lutego.

„Szarzeć poczęło, gdy wyszliśmy z obozu i podjęli o paręset kroków od niego świeży trop całego stada słoni.

Nie uszliśmy pół mili za śladem, gdy trzask gałęzi wskazał nam, że słonie są niedaleko.

Zmieniłem ekspres na gruby kaliber i z bijącem sercem sunąłem cicho za Abantim; za mną szedł Soult, Maulan i Ferek ze strzelbami.

Łomot gałęzi wciąż wyraźniej nas dochodził; wreszcie ujrzałem wierzchołki drzew i krzewów gwałtownie się poruszające.

Słonie tuż obok.

Jeszcze kilka chwil piekielnej emocyi, leziemy na czworakach w ciemnym gąszczu.

Wtem Abanti ręką wskazał przed siebie i na bok się usunął, zostawiając mi wolny przechód. Podlazłem jeszcze parę kroków naprzód i w głębi gąszczu, nie więcej niż o ośm kroków od siebie, ujrzałem siwą masę ogromnego zwierzęcia, stojącego ku mnie na połeć. Gdyby nie to, że trąbą wciąż za gałęzie chwytał i gwałtownie niemi poruszał, byłbym może przeszedł tuż obok, nie zauważywszy, że słoń koło mnie stoi.

Emocya mnie dławiła; nieco za szybko wypaliłem, mierząc w łeb między ucho i oko.

Grzmot strzału, dym, ryk, trzask gałęzi, oszołomiły mię nieco; nie widziałem, co się ze słoniem stało. Niemal bezwiednie podbiegłem kilka kroków naprzód ku jaśniejszemu miejscu, na małą polankę i w tejże sekundzie dwa słonie z trzaskiem i hukiem na nią wypadły. Byłem od nich nie więcej niż o sześć kroków. Pierwszy mnie zobaczył i jakby przystanął — w tejże chwili strzeliłem do niego z lewki. Przewrócił się na bok z rykiem przeraźliwym. Soult, stojący opodal, zamiast mi podać drugi sztuciec, sam z obu luf do leżącego słonia wypalił, ja zaś począłem szukać po kieszeniach ładunków do zmiany. Nim je wszakże włożyć zdołałem, słoń dźwignął się na nogi i sycząc, hucząc i fukając, jak machina parowa, znikł nam z oczu w ciemnym gąszczu.

Gdy ochłonęliśmy nieco z emocyi, rozpoczęła się rekonstrukcya faktów; pokazuje się, że słoni było pięć. Abanti twierdzi, że pierwszy, do którego strzelałem, też się przewrócił, lecz szybko się podniósł i umknął z dwoma innymi w przeciwnym kierunku do tych, które na polankę wypadły. Oba zatem były postrzelone, lecz, niestety, wiedziałem już z poprzednich opowiadań i opisów, że słoń postrzelony, który jest w stanie na nogi się dźwignąć, prawie zawsze dla myśliwego jest stracony.

Tak się też stało. Szliśmy spory kawał za farbą drugiej sztuki, która nam się silniej strzeloną wydawała Farby po gałęziach było niezbyt wiele, wreszcie ustała zupełnie, trop skrzyżował się i złączył ze świeżymi; musieliśmy dać za wygraną i odstąpić od dalszego szukania.

Smutno mi się zrobiło na sercu po tem niefortunnem z gruboskórcami spotkaniu. Odbyło się ono tak blisko od obozu, że nietylko strzały, lecz i ryk zwierzęcia słyszano w nim wyraźnie i moja żona, pewna dobrego rezultatu, w parę chwil zdążyła na miejsce zdarzenia — niestety! po to tylko, by ujemny jego wynik skonstatować.

Nie ulega wątpliwości, że obie kule moje nie chybiły wprawdzie celu, lecz nie trafiły w odpowiednie punkta, ogłuszyły tylko chwilowo olbrzymie zwierzęta, nie docierając do mózgu, a zatem nie naruszając życiowych części organizmu. Potwierdza to, co powyżej wspomniałem, że słonia tylko w mózg a nie gdzieindziej trafić należy, aby go na miejscu powalić.

Dziwnem się może wyda niejednemu myśliwemu, przeglądającemu te kartki, jak można zwierzę notorycznie sprytne i rozumne, jak słoń, podejść na tak bliski dystans, jak się to zazwyczaj zdarza. Niechby kto spróbował w naszych kniejach podkradać się w ostępie do łosia, niedźwiedzia, dzika, a choćby nawet do sarny lub parkowego jelenia: pryśnie nieraz pierwej, nim myśliwy ujrzeć go zdoła. Kluczem do tej zagadkowej właściwości polowania na słonie, jest zdaje mi się to, że słoń dziwnie jest krótkowidzący, nie rozróżnia przedmiotów dalej niż o kilka kroków przed sobą, i obdarzony od natury znakomitym węchem, polega tylko i wyłącznie na tym ostatnim zmyśle, ale ten wtedy tylko służyć mu jest w stanie, gdy sprzyja wiatr odpowiedni, w przeciwnym zaś razie ustaje władza węchu zupełnie.

Trzask bezustannie łamanych gałęzi, łomot ich poruszeń i wogóle hałaśliwe zachowanie się słoni w kniei przygłusza wszelki inny szelest i dlatego zwierzę nie słyszy szmeru zbliżającego się człowieka i daje mu się podejść tak blisko. Wszystko od wiatru zależy, i najlepszy tropiciel i najwprawniejszy myśliwy nie potrafią zbliżyć się do słonia, jeżeli im wiatr nie sprzyja.

Starego Maulana posłałem, więcej par acquit de conscience niż z przekonania, na trop słonia, strzelonego pierwszą kulą, sami zaś zwróciliśmy się ku obozowi, t. j. do Yala, dokąd nasz tabor tegoż ranka miał się posunąć.

W braku Abantiego, którego posłałem po zapomniany kapelusz od słońca, tłukliśmy się długo po ciemnej dżungli, nie mogąc należytego kierunku drogi do Yala odnaleść.

Wtem doszły nas z gęstwiny głosy, zdradzające bliskość nowego stada słoni. Z Soultem jako jedynym przewodnikiem, puściłem się samowtór w ich kierunku.

Trudno opisać tony, jakie słonie wydają, gdy ich sporo w kupie się zbierze. To przeciągły świst, jakby lokomotywy, to gruby ryk, to głos jakby trąby olbrzymiej, to znowu cienki kwik i syk — zlewają się w koncert acz nie symfoniczny, lecz co najmniej oryginalny, do którego huk gałęzi i trzask drzew deptanych stanowi odpowiedni akompaniament.

Podkradaliśmy się dosyć blisko, nie mogąc ich dostrzedz, gdy nagle wychyliwszy się na czyściejsze miejsce, ujrzałem słonia stojącego no sztych ku mnie. Za nim stał drugi, w oddali czerniał trzeci, czwarty i sporo jeszcze więcej.

Podsunąłem się bliżej, wprost ku słoniowi idąc, i na 12 kroków, tym razem spokojnie i z zimną krwią, wymierzyłem nisko w czoło, nad samym trąby zaczątkiem. Po strzale runął jak stał, aby się więcej nie podnieść. Za nim stojąca druga sztuka ogromnych rozmiarów, istny kolos, zamiast do ucieczki się zwrócić, podszedł do leżącego towarzysza i trąbą go począł macać i obwąchiwać, jakby go do ucieczki namawiając. Z lewki drugą kulę mu posłałem: przewrócił się w ogniu tuż za pierwszym. Tryumf świetnej dublety zamajaczył mi przed oczyma; niestety, gdy chwytałem drugą strzelbę, by dostrzelić pierwszą żyjącą jeszcze sztukę, kolos zerwał się, umknął i tyleśmy go widzieli.

Jeden przynajmniej został: pyszna sztuka, średniego wieku byk, dużych rozmiarów. Dziwne uczucie ogarnia myśliwego, nieobeznanego z tą niezwykłą zwierzyną, na widok strzelonego olbrzyma. Radość i właściwe każdemu myśliwemu, może nieco krwiożercze, ale prawdziwe przy każdym rodzaju polowania uczucie wysokiego zadowolenia z samego siebie na widok upolowanej zwierzyny, a cóż dopiero *takiej* zwierzyny! — przygłusza, mem zdaniem, wszelkie inne konsyderacye i nie wierzę w szczerość opisów myśliwych, którzy przy pierwszym swym słoniu rozwodzą się nad bezcelowością tego sportu i okrucieństwem zabijania nieszkodliwych zwierząt.

Kto ma w sobie prawdziwą żyłkę myśliwską, temu podobne refleksye przy ubitym pierwszym okazie najgrubszego zwierza do głowy nie przyjdą, a przesyt nastąpić może dopiero później, przy częstem powtarzaniu się tego samego rezultatu.

Kto nie widział słonia na wolności, nie może sobie wyobrazić rzeczywistego wyglądu tego zwierza na tle dzikiej kniei: nie podobny on zupełnie do owego słonia o dobrodusznym wzroku i wyrazie, który w menażeryach lub ogrodach zoologicznych bawi spektatorów zręcznością, z jaką wyławia podawane mu bułki i przysmaki. Postawa, ruchy, wzrok, cały wygląd jednem słowem — znamionują dzikość, nieprzepartą siłę i potęgę tego olbrzyma, który się tak ma do swego przyswojonego brata, jak wół w pługu chodzący do dzikiego bawołu w ostępie dziewiczej dżungli. Cóż dopiero słoń złośnik, czyli „rogue“, o którym myśliwi mówią, że jest najniebezpieczniejszem i najstraszniejszym stworzeniem na kuli ziemskiej.

Strzelałem dziś zatem do czterech słoni w ciągu kilku godzin, natrafiwszy na dwa liczne stada; w drugiem 6—8 sztuk być musiało.

Kulisi zbiegli się do leżącego słonia i zaczęło się szczegółowe oglądanie zwierza. Pierwszą mą kulę, która powaliła go na miejscu, dostał nisko w środek czoła.

Gdyby to było w Afryce, byłaby moja kula bezskuteczną, bo wypukła konformacya czoła słonia afrykańskiego chroni go od frontowych strzałów i kula w czoło zazwyczaj powierzchownie prześliguje się po skroni, nie dostając się do wnętrza czaszki. Natomiast słoń indyjski ma kość czołową wklęsłą i daje tem samem możność strzału na sztych.

Odnaleźliśmy nie bez trudu ścieżkę wiodącą do Yali i w tryumfie przybyli do obozu, przynosząc ogon słonia, który tu zwykle jako doraźne trofeum obcinają“.

* * *

Lecz były także bardzo dramatyczne chwile wyprawy, w których niebezpieczeństwo nie na żarty groziło naszemu łowcowi. Oto relacya z 25. lutego z obozu, rozbitego w Palle-Potane.

„Wyszliśmy oboje z obozu wieczorkiem, więcej dla spaceru niż na polowanie, ze zwykłą, liczną świtą kulisów broń niosących. Byliśmy może o pół mili od obozu i skręcaliśmy z kołowej drogi do gąszczu, gdy idący ostatni kulis, od kucyka mej żony, krzyknął, że zobaczył słonia, wchodzącego do gąszczu o kilkadziesiąt kroków opodal. Chwila zamieszania, zrywania strzelb, gorączkowe nabijanie, i — zostawiwszy żonę pod strażą starego Maulana i kilku Syngalezów — puściłem się z bijącem od emocyi sercem w stronę, gdzie słoń wlazł do gąszczu.

Szedłem naprzód z grubym kalibrem, za mną Soult z ekspresem do zmiany, Ferek, Abanti i t. d. Nie doszliśmy do gęstwiny, a już łomot gałęzi zdradził obecność gruboskórców. Ujrzałem naprzód w gąszczu małego słonika, za nim stał drugi nieduży, o kilka kroków dalej trzy grube sztuki. Wszystkie stały zadami ku mnie, kłapiąc głośno uszami, zwrócone do małej kałuży, z której zamierzały widocznie pragnienie zaspokoić. Zbliżyłem się jeszcze o parę kroków i wyszedłszy na małą ścieżynkę, wybrałem najgrubszą i najbliżej odemnie, en trois quarts stojącą sztukę, i celując za ucho, dałem ognia. Jak błyskawica zwrócił się kolos po strzale na miejscu, jakby go kula wcale nie dotknęła i ze zwiniętą w górę trąbą, gwiżdżąc straszliwie, ruszył wprost na mnie.

Uprzedzono mnie, że ze słoniem, gdy trąbę zwinie do ataku, nie ma co żartować. Wytrzymałem go jeszcze kilka kroków i *à bout portant* z lewki w łeb wypaliłem. Nie zapomnę w życiu wyglądu bestyi, a szczególnie złośliwego jej wzroku. Czy go w pospiechu chybiłem, czy trafiłem za wysoko, dosyć, że pędem sunął ku mnie, — jeszcze krok, a byłby mnie trąbą porwał.

W tejże sekundzie grzmot strzału i świst przelatującej mi nad uchem kuli pozbawił mnie nadziei zapasowego sztućca na ratunek: Soult z niego wypalił. Nie miałem co dłużej czekać, cisnąłem strzelbę i wziąwszy nogi za pas, począłem zmykać co mi sił starczyło. Słyszałem rwetes za sobą, moja świta pierzchnęła jak stado spłoszonych kuropatw, gdzie kto mógł, ja zaś niefortunnie na czystą halawkę się wybrałem i skręcając za krzak, omal nie dostałem się pod wypadającego z gąszczu drugiego małego słonia, który za matką umykał. Długo mi to spotkanie w pamięci pozostanie: tak blisko był odemnie, że się o korpus jego otarłem.

Tymczasem postrzelona gruba sztuka, porzuciwszy mnie, zwróciła się do Soulta, który zdołał schronić się za drzewo i dwukrotnie wściekle nań szarżowała. Soult do tego stopnia stracił głowę, że z drugiej lufy w powietrze wypalił i omal Fereka nie zabił, gdy ten w przeciwną stronę umykał.

Swoją drogą było się czego zdetonować, a najgorszy ten ryk piekielny, którego wrażeniu najtwardsze nerwy oprzeć się nie zdołają.

W rezultacie słonie, spłoszywszy naszą gromadkę, jako zwycięzcy opuściły plac boju i cofnęły się do gąszczu.

Moja żona stała o 50 kroków i była świadkiem całej imprezy.

Najsmutniejszy jej skutek dopiero teraz stał się widoczny! Mój sztuciec, który w pośpiechu porzuciłem, dostał się pod nogi słonia, który nań stąpił, i strzelba pękła w rękojeści. Właśnie równo tydzień upłynął od wypadku z Lebedówką*), ale dzisiejszy o wiele jest fatalniejszy, bo pozbawia mię jedynej broni na słonie, jaką posiadam. Strzelba trzyma się wprawdzie śrubkami okucia, lecz drzewo przełamane, i jest obawa, że nie wytrzyma pierwszego strzału i silnego naboju prochu.

Soult mówi, że widział chwilę, gdy słoń goniący za mną stąpił na strzelbę tylko krajem swej stopy olbrzymiej; dzięki temu i okoliczności, że grunt w tem miejscu był wilgotny, strzelba, wbijając sie w ziemię, uniknęła zupełnego zmiażdżenia. Ex re tego wypadku Soult nam opowiada, że był świadkiem zdarzenia, jak postrzelony słoń, atakując człowieka, porwał sztuciec, wypadły z rąk myśliwego, i uniósłszy go w trąbie, o pierwsze drzewo roztrzaskał. Niechybnie byłby ten sam los i moją strzelbę spotkał, gdyby ją był pod nogami zauważył.

Rozważając zimno całą przeprawę dzisiejszą, doszedłem do wniosku, że popełniliśmy kilka grubych błędów z braku odpowiedniego doświadczenia. Primo: nie należy nigdy strzelać do słonia, stojąc na ścieżce, którą słoń przyszedł i prawdopodobnie odejdzie, i gdzie myśliwego odrazu spostrzega; trzeba zawsze starać się z boku go podejść i z gąszczu strzelać. Secundo: zawinił Soult, który mimo swych myśliwskich zdolności i doświadczenia, kompletnie traci głowę w gorących chwilach emocyi i strzelając przed siebie na chybi trafi, zamiast podać broń zapasową, staje się niebezpieczniejszym od słonia samego. Wreszcie: nie należy nigdy w krytycznej chwili odwrotu umykać na czyste miejsce, jak ja uczyniłem; wystarczy odskoczyć w bok i w gąszcz się wcisnąć, gdzie krótkowidzący słoń odrazu człowieka z oczu traci, a na czystem może go gonić i doścignąć.

Co do samych strzałów, zdaje się, że pierwsza moja kula, strzelona z tyłu w ucho, zgubiła się w fałdach skóry i tylko powierzchownie po czaszce się prześliznęła, nie penetrując do głębi; druga, na sztych strzelona, trafiła za wysoko w czoło. Ludzie mówią, że widzieli wyraźnie znak farby na czole. Lecz co za siła olbrzymia w zwierzęciu, które otrzymawszy kulę 8-go kalibru, wypartą sześciu drachmami prochu, na trzy kroki, nawet się nie zachwiało po strzale! Żałuję, że tu nie ma jednego z wielu t. zw. globe-trotterów lub turystów pseudo-sportmańskiego zakroju, którzy po powrocie z Colombo opowiadają i piszą, że polowanie na słonie to rzeź niewiniątek, wzbudzająca żal i litość. Nie tak to łatwy sport, jak się wydaje, a kto żądny wrażeń i emocyi, może przy spotkaniu oko w oko z postrzelonym słoniem zaznać ich więcej, niż za przyjemne uznać będzie w stanie.

Za pomocą mosiężnego drutu, szczęśliwie znalezionego między przyborami Soulta do wypychania ptaków, owinęliśmy złamaną kolbę i zespolili jak można było najlepiej".

* * *

Z tym sztućcem zdrutowanym poluje jeszcze dalej hr. Potocki i potyka się zwycięzko ze słoniami i bawołami. Oto co pisze pod datą 3. marca.

„Słonie kręcą nami po dżungli, wreszcie zawodzą nas do wysokopiennej, gęsto podszytej kniei. Nie słyszeliśmy nawet poprzednio zwykłego łomotu gałęzi, ostrzegającego o ich bliskości, gdy znaleźliśmy się pośród nich. Maduma stanął jak wryty, potem usunął się na bok, puszczając mnie naprzód. Najbliżej ode mnie na lewo stała ogromna siwa sztuka, zadem ku mnie zwrócona, trąbą rytmicznie się wachlując; na prawo czerniało 6—8 sztuk; w oddali było ich sporo więcej, bo widziałem wychylające się ponad krzewy trąby, dosięgające nieprawdopodobnie wysoko pęków liści i gałęzi w konarach drzew; koło nas, za nami i przed nami wszędzie słonie wokoło. Nie wiem, czy drugi raz w życiu coś podobnego zobaczę, ale wiem, że tego obrazu nigdy nie zapomnę. Przysiadłem na ziemi i dobrą chwilę obserwowałem ruchy pachydermów. Chociaż byliśmy tak blisko, nie zauważyły nas wcale i niebezpieczeństwa przeczuwać się nie zdawały. Nagle młody słonik coś zwietrzyć musiał, bo kwiknąwszy głośno, podbiegł do opodal stojącej matki i przytulił się do niej. W oka mgnieniu wszystkie, jak na komendę, powyciągały trąby przed siebie i słychać było wyraźnie, jak powietrze wciągały. Teraz nie było już czasu do stracenia, bo i kolos koło mnie stojący ruszać się począł. Powstałem z ziemi i odskoczywszy nieco w bok, podsunąłem się jak mogłem najbliżej. Byłem od jego zadu nie więcej niż o trzy kroki, lufą go niemal trącić mogłem. Wydawał mi się największym ze wszystkich, które dotąd widziałem, tak olbrzymi, że mu zaledwie do połowy ciała sięgałem. Pomimo bliskości źle mi było strzelać, bo łeb był zakryty; dopiero gdy łomot i trzask wokoło wskazał, że całe stado do ucieczki się rzuciło, i on powoli się zawrócił i odsłonił mi część łba i ucho. W to miejsce strzeliłem. Runął jak stał na przednie nogi i na bok się wywrócił. Widziałem dokładnie, jak jasna smuga farby z za ucha trysnęła.

Łomot walących się wokoło pni i gałęzi od uciekającego w popłochu stada był tak straszny, że mimowolnie obejrzałem się szukając grubszego drzewa i schronienia. Słoni z górą dwadzieścia przebiegło koło nas, i myślałem, że nas stratują na miazgę.

---

*) Lekką Lebedówkę złamał hrabiemu Soult, uderzając kolbą w ziemię przy spotkaniu się z wężem jadowitym.

Jakież przykre było me rozczarowanie, gdy rzuciwszy okiem na leżącą sztukę, którą uważałem już za pewne trofeum, zobaczyłem, jak się kolos powoli dźwignął i mimo drugiej kuli, w szybkości posłanej, umknął za innymi i przepadł. Przebiegliśmy śladem lejącej się obficie farby; niestety! po kilkuset krokach poczęła się zmniejszać, a uszedłszy z milę jej śladem, straciliśmy ją zupełnie. Trop rannego zbiegł się z innymi i musieliśmy od dalszego szukania odstąpić.

Myśliwy pojmie uczucie formalnego przygnębienia, które mną owładnęło po tym szeregu niefortunnych strzałów, których winę muszę wziąć naturalnie na siebie, lecz przyczyny wytłómaczyć nie umiem. Mierzyłem spokojnie, o chybieniu mowy być nie może, zresztą przy ostatniej sztuce widziałem wyraźnie, jak kula w śmiertelne miejsce ugodziła. Zaczynam myśleć, że chyba broń nieodpowiednia lub ładunki za słabe i kula, wyparta niedostateczną ilością prochu, nie jest w stanie przebić masywnych kości czaszki. Ta ostatnia przyczyna wydaje mi sie najprawdopodobniejszą. Moje ładunki do 8-go kalibru zawierają po 6 gramów*) prochu, gdy słyszałem, że Anglicy nigdy mniej niż 8 gramów nie używają.

Moja miłość własna cierpi na wyznaniu licznych i niefortunnych mych strzałów do słoni, lecz dla ścisłości prawdy notuję tu zdarzenia, jak się odbywały, a może odnajdzie w nich amator, którýby emocyi polowania na słonie zażyć pragnął, radę i wskazówkę co do broni i amunicyi, z jaką się wybrać należy.

Mówią, że słoń, nie poległy martwy na miejscu, wylecza się zazwyczaj z rany w łeb; pociesza mnie zatem, że me postrzałki nie przepadną gdzieś marnie.

Z powyższych kartek widoczne, jaka mnogość słoni żyje w tej części Cejlonu. Jest to niezaprzeczenie rodzaj grubej zwierzyny, w tutejszej dżungli najliczniej reprezentowany, i najłatwiej się z nim spotkać. Uderzyła mię też spora ilość słoniej młodzieży, którą spotkałem; niemal w każdym stadzie po kilka sztuk małych słoników świadczy o ciągłym przyroście, który swoją drogą niezbyt szybko się rozwija, bo słoń do 10-ciu lat liczy się jako mały, a dopiero wyżej lat 20-tu za wyrosłą sztukę jest uważany".

* * *

A oto jeszcze jeden obrazek z ostatniego dnia polowania, 5. marca.

„Noc jeszcze była, gdyśmy wyszli z obozu i przeprawiwszy się na drugi brzeg rzeki, znaleźliśmy się na szerokich, trawą zarosłych równinach, ulubionem miejscu wypasu bawołów. Każdy rodzaj grubej zwierzyny jest dla myśliwego i uroczy i ponętny, lecz pomijając słonie i największe felidy, nie znam zwierza, któryby mi więcej imponował i do myśliwskiej wyobraźni przemawiał, niż dziki bawół. Jedno z najmilszych wspomnień mej wyprawy zawdzięczam spotkaniom z tym wspaniałym dżungli mieszkańcem.

Świtać poczęło; gęste białe mgły, jak przejrzysta zasłona, unosiły się nad łąkami, zalegając wokoło otwartą przestrzeń obszernych preryi; gdzieniegdzie tylko czerniał krzew tarniny, pojedyncze drzewo smukłej akacyi lub karłowatej jabłoni. Dziki stadami plątały się w wysokich trawach, przemykając przez ścieżki i nie bojąc się przechodnia, jakby wiedziały, że się tu na nich uwagi nie zwraca; białe pelikany z rybami w grubych dziobach spieszyły z rannego połowu z nad brzegów słonych jezior do gniazdowych kolonii; spłoszone pawie z wrzaskiem uciekały do gąszczu; czasem szakal chyłkiem się przemknął, z nocnej wracając wędrówki, najedzony padłem odnalezionego postrzałka; drobne ptaszki wesołym śpiewem witały budzący się dzień boży; zdaleka morze huczało, górując głuchym szumem nad wszelkie inne głosy natury. Czerwona tarcza słoneczna wychylać się zaczęła z za horyzontu, rzucając niezwykle mglistym oparem przyćmione światło na krajobraz wokoło. Fatamorgana tak wyglądać musi. Zaledwie przez lornetkę w białej mgle widoczny ciągnął już sznurek bawołów do gąszczu, zadaleko jednak, aby mu drogę zabiedz. Samotnie stojąca bawolica, łatwa do rozpoznania po długich a cienkich rogach, zwróciła mą uwagę, lecz zostawiliśmy ją w spokoju, pragnąc z bykiem pojedynkiem się spotkać. Opodal pasło się znowu kilka sztuk, lecz i te puściliśmy bez strzału.

Wyszliśmy z łąk na czystą piaszczystą równinę, jakby dno wyschłego jeziora. W pośrodku niego, ku nam na sztych, na sto kilkadziesiąt kroków, stał bawół potężny, byk pojedynek, dziwnie dużym się wydający, w bladem oświetleniu na tle białej, milionem drobnych muszelek migocącej równiny. Patrzał się na nas, jakby wyzywająco i wcale o ucieczce myśleć się nie zdawał. Podbiegłem do sterczącego w piasku pnia uschłej akacyi i powitałem go kulą z ekspresa. Byk skręcił się po strzale, zatoczył półkole i pełnym galopem, ze łbem w tył pochylonym, głośno sapiąc, prosto ku nam zwrócił. Chybiony był, bo widziałem w strzale, jak kula obok w piasek ugodziła.

Stojąc za grubym pniem drzewa, byłem zakryty i czułem się zupełnie bezpiecznym; słyszałem tylko za sobą zamieszanie w gromadce mej świty, która gęsiego za mną się ustawiła. Za gorąco i za prędko drugi raz strzeliłem, chybiając kompletnie rozjuszone zwierzę. Schwyciwszy podaną mi zręcznie w okamgnieniu przez Soulta drugą strzelbę, wytrzymałem jeszcze sekundę i trzecią kulę posłałem — pierwszą, która nie chybiła celu. Dopiero po niej bawoł zreflektował się i skręcił w bok, dając mi możność drugiego strzału w komorę. Runął w ogniu, lecz dźwignął się i chrapiąc i dysząc, pocwałował w stronę jeziora, opodal się ciągnącego. Pół dnia szukaliśmy go; kilku krajowców, obietnicą datków zachęconych, wzdłuż i wszerz przeszło wszystkie gąszcze i okoliczne kryjówki — bawół jak w wodę wpadł. I rzeczywiście w wodę gdzieś wleźć musiał i zapchać się w niedostępne krzaki, w wodzie słonego jeziora rosnące, dokąd krajowcy z obawy przed alligatorami zapuszczać się nie śmieli. Jestem pewien, że niedaleko uszedł i padł bez życia. Dla mnie zdobycz stracona, lecz nabyte wspomnienie najładniejszego spotkania, jakie miałem z cejlońskim bawołem".

* * *

Na tem kończymy nasze wyciągi z „Notatek myśliwskich", i uwagi o nich. Czytelnik raczy teraz wziąć sam książkę do ręki, a będzie nam wdzięczny za zwrócenie uwagi na dzieło, którego czytanie sprawi mu niezawodnie wiele przyjemności i wiele go nauczy.

A dodać jeszcze i to należy, że ryciny, które wykonał Stachiewicz na podstawie fotografii, zdejmowanych na miejscu przez hr. Potocką, podnoszą w wysokim stopniu opisową część opowiadania i wyposażają dzieło tak świetnie, że „Notatki myśliwskie" zaliczyć należy do dzieł najwspanialej wydanych, jakie się w ostatnich czasach w literaturze polskiej pojawiły. *St.*

*) Ma być zapewne 6 drachm = 26¼ gramów, gdyż naboje po 6 i 8 gramów byłyby niesłychanie słabe. *Przyp. Red.*

Przygoda starego Szymona.

Wicher grudniowy dmie kurzawą, świata nie widać; psa żal wypędzić na dwór, zwłaszcza że to już wieczór.

W karczmie górskiej siedzi za stołem człowiek nie młody z tłumoczkiem obok siebie. Wstąpił na wódkę, bo dwie mile drogi zrobił wśród śnieżnej kurzawy, a jeszcze ma ubiedz milę, aby dojść do celu swej podróży.

Nie pomagają przedstawienia karczmarza, nie pomaga napominanie wichury, bijącej w szyby karczemki. „Ja muszę jeszcze dzisiaj widzieć moją pannuncię!“ Oto argument ważny starego sługi, spieszącego do dziecka swego chlebodawcy, wydanego za starościca kulosznianskiego, mieszkającego o trzy mile od rodziców.

Służba dawna to nie dzisiejsza; generacyami całemi służyła w jednym rodzie, generacyami roli nie zmieniała, generacyami była wierną i do swych chlebodawców przywiązaną. Sługa stary był to komunista w najszlachetniejszem znaczeniu tego słowa; nie mawiał inaczej jak „nasze pola“, „nasze konie“, „nasze woły“, to do „nas“ należy — ale co więcej, o dzieciach chlebodawcy swego nie mówił inaczej, jak „nasze dzieci“. Córka chlebodawcy już miała dorosłe dzieci, a u niego niczem nie była, tylko zawsze „pannunćią“, „panienką“. Jednem słowem sługa stary był to przyjaciel serdeczny rodziny, na którego można się było w każdej okoliczności spuścić i który w niczem zaufania nie zdradził.

Szymon stary, nie pomny przestróg karczmarza, nie pomny napominania bijącej w szyby burzy, wybrał się w dalszą drogę do Smolnika. Zaledwie zrobił ćwierć mili, a już i ślad drogi zaginął przed nim. Wracać — to równie niebezpiecznie jak iść naprzód, bo prócz tumanów śniegu nie widzi nic ani przed sobą ani za sobą...

Punkt jeden ciemniejszy spostrzegł w bok drogi, a w przepuszczeniu, że to chata, podąża do niej. Po długiem bałowaniu w śniegu dobija do tego punktu i spostrzega, że to stóg siana pod górą. Wyboru nie ma, albo zmarznie w drodze albo zmarznie w sianie; jeśli się w siano zakopie, to może jeszcze uratuje życie.

Jak pomyślał, tak zrobił; wydrapał się na stóg przykryty z wierzchu strzechą słomianą, wkopał się głęboko w siano, modli się i myśli. Rozpamiętuje przestrogi karczmarza, sumuje się, że „panienki“ dziś już nie zobaczy, a już najwięcej mu chodzi o to, że ze świeżo upieczonych łakoci przyniesie „panience“ tylko zmarznięte kaczany.

Jak długo tak leżał i myślał — trudno powiedzieć; nawet gdyby miał zegarek i znał się na nim, trudno by było widzieć godzinę wśród ciemności nocy, zawierzuchy i na stogu siana. Przeleżał, przemodlił i przedumał godzinę, dwie a może i więcej. Naraz wśród dumania słyszy ogromny łomot z góry i warczenie. Wychylić się — nie pomoże nic, bo nic nie zobaczy; czeka więc i nadsłuchuje, jak te głosy coraz więcej się zbliżają do stoga. Nie długo potrzebował czekać, aby się o całej grozie położenia swego dowiedzieć. Oto na stóg siana wyskakuje ogromny niedźwiedź i sadowi się na samym krawędziu. Widocznie bardzo zajęty jakąś ważną pracą, bo po stogu nie łazi, tylko, co weźmie kłapeć siana w łapę, chwyta się strzechy drugą łapą i rzuca siano na dół. A na dole odbywa się jakieś piekielne żarcie się.

Szymon oddech zaparł w piersi i kombinuje, co z tego dalej będzie. On kombinował, a niedźwiedź wybierał siano, którem był Szymon przykryty. Tuż, tuż nadejdzie chwila stanowcza, niebawem dobierze się do niego i gotów go także rzucić na dół. Zbiera tedy Szymon ostatek energii, podsadza się pod niedźwiedzia i w jednej chwili zsunął go na dół. Nie trudno mu to przyszło, bo niedźwiedź siedział na samej krawędzi stogu. Teraz kolej na Szymona popatrzeć, co się na dole dzieje; ale nic nie widzi, tylko śnieg, kurzawę i straszne kotłowanie jakichś żyjących stworzeń.

Opisywać strach starego, byłoby rzeczą niemożliwą, nuż towarzysz jego schroniska pokusi się na nowo wyskoczyć na stóg? Któż może wiedzieć, co to za stworzenia są na dole pod stogiem? A nuż które z nich zbierze chętka wyleźć na siano? Wszystko to ciśnie się Szymonowi do myśli i potęguje strach wśród czarnej nocy i burzy, która wyje coraz straszniej.

W tym stanie wyczekiwania w śmiertelnej trwodze doleżał Szymon do rana i jakież było jego zdziwienie, gdy pod stogiem spostrzegł niedźwiedzia i siedm wilków nieżywych.

Na niebie uciszyło się. Stary Szymon zziębnięty, strachem przejęty, ledwie żywy przyszedł nareszcie do panienki i opowiedział przygody tej nocy. — Wysłano fury po zwierzynę. Myśliwi zebrali się i sprawdzili, że 28 wilków zgłodniałych wyśledziło gawrę niedźwiedzią. Zaatakowany myś ocknął się, wyskoczył z gawry, a widząc przewagę i niemożliwość obrony, dał nogom znać i znalazł się na stogu siana; zrzucony z niego rozpoczął bój zacięty z wilkami, siedm z nich na miejscu położył, a reszta pokonała go, lecz przestraszona czy to furami do lasu po drzewo jadącemi, czy to nadchodzącym dniem, uszła w las porzucając żer, taką ofiarą krwawą zdobyty.

Zagrobela 29. Lutego 1896.

Czarkowski-Golejewski.

Biedne łowiectwo w Izbach sejmowych.

Szkuta się rozbiła ze skargami na łowiectwo i z zamachami na zwierzynę łowną! Nie tylko w sejmie galicyjskim, w dwóch jeszcze innych sejmach przedlitawskich wywodzono żale przeciwko łowcom, przeciw szkodom przez zwierzynę wyrządzanym i z dzikim okrzykiem: precz z zającami! precz ze sarnami! precz z wszelkim zwierzem łownym! — domagano się broni dla każdego posiadacza choćby dwóch zagonów i zdmuchnięcia myśliwstwa z powierzchni ziemi. Batalje te toczyły się w sejmie niższoaustryackim i styryjskim, a główne ich szczegóły nie będą bez interesu dla naszych czytelników.

W Wiedniu.

Sejm niższo-austryacki, mający już od dłuższego czasu radykalno-antysemickie zabarwienie, jest parlamentem *sui generis*. Na pół wykształceni, a powodzeniem Luegera uzuchwaleni posłowie, nie przebierają w wyrazach, forsują swą politykę brutalną w sposób obcesowy, rzucają się na wszystko i na wszystkich, a ustawa łowiecka jest dla nich nie od dziś konikiem, na którym w pocieszny sposób harcują. To też rozprawa, która się w sejmie niższo-austryackim dnia 14 stycznia odbyła, miała przebieg wielce oryginalny.

W skutek petycyj wniesionych do sejmu, przygotowała sejmowa komisya rolnicza i przedstawiła Izbie do uchwalenia rezolucyę następującej treści: „Wzywa się c. k. rząd, ażeby wniósł jak najrychlej nowy projekt do ustawy łowieckiej, mieszczący w sobie postanowienia, któreby, ze względu na kulturę rolną, dążyły do powstrzymywania zbyt wielkiej rozmnoży zwierząt łownych i zapewniały rolnikom uzyskiwanie sprawiedliwszych wynagrodzeń za szkody przez zwierzynę zrządzone, a to bez ponoszenia kosztów z przyznawaniem odszkodowań połączonych.“

Już sam sprawozdawca Garnhaft wprowadził rzecz pod obrady w tonie polemicznym, utyskując, że rząd przyrzeka co chwila jakieś reformy, lecz każe na nie długo czekać, że co da jedną ręką, to drugą odbiera, a tymczasem ludność potrzebuje reform, któreby z niej zdjęły nieco ciężarów — przedewszystkiem ludność rolnicza, chłopi, którym i pod względem łowieckim sprawiedliwszej trzeba ustawy.

To był sygnał do batalii — i wnet rozpoczął się rotowy ogień pszeciw łowcom.

Poseł Scheicher zapowiedział, że petycye przeciw dzisiejszym przepisom łowieckim posypią się wkrótce ze wszech stron i zasypią Izbę. Oznajmił, że razem z jednym z kolegów sejmowych był na wiecu burmistrzówz Tullnerfeldu, i zgroza, co tam słyszał W przemówieniach chłopskich brzmiała co drugie słowo ustawa łowiecka i odszkodowania. Myśliwi mówią wprawdzie, że chłop przesadza — ale to nie prawda. I taka mdła rezolucya, jaką komisya proponuje, nie pomoże nic; niebawem trzeba będzie silniejszych użyć środków, aby chłopom przynieść ulgę. „Bywały czasy — mówił p. Scheicher — w których łowy nazywano rycerskiem zajęciem. Może być, iż tak było, gdy łowiec miał do walczenia z turem lub niedźwiedziem. I dziś może to być uważane za rycerskość, gdy łowiec jedzie do Afryki lub Indyi, aby strzelać tygrysy i jaguary. Bardzo dobrze! Czy to jednak jest po rycersku uganiać za biednym szarakiem dopóty, dopóki się go się nie zastrzeli? A to już całkiem nie po rycersku, gdy łowiec każe chłopu zająca wyhodować, a potem go sobie przywłaszcza. (Brawo). Jeżeli coś podobnego uważać zechcecie za rycerskość, to chyba i postępowanie Raubritterów było rycerskiem. Oni zabierali ludziom to, co do nich należało, a ten, który zwierzynę chłopu każe utrzymywać, zabiera mu także to, co do niego należy. Trzeba więc raz skończyć z tem średniowiecznem monstrum przywilejów, jakiem jest polowanie, bo cierpi przez nie nietylko chłop, ale także cała kultura leśna i uprawa wina. A tymczasem, jak mnie się zdaje, są dążenia, ażeby jeszcze bardziej rozszerzyć przywileje, zamiast wymierzyć pokrzywdzonym sprawiedliwość.“

„Ja nie jestem nieprzyjacielem polowań. Jeżeli kto jest w nich zamiłowany i ma ochotę polować — w imię boże! — niech poluje. Ja tylko nie mogę dopuścić, ażeby chłop miał żywić zające dla myśliwego. I skargi chłopów nie ustaną nigdy, dopóki panowie nie powiecie otwarcie: polowanie jest wolnem dla wszystkich!...“

„Spytajcie panowie chłopów, którzy tu w Izbie siedzą, na ile strat naraża ich dzisiejsza ustawa łowiecka? Pominąwszy już szkody w kulturach, ponoszą oni jeszcze straty przez to, że sarny zarazę racicową między zwierzęta domowe roznoszą. Znam wsie, których mieszkańcy miesiącami całymi bydło swe w stajni trzymać musieli i mieli stąd znaczne wydatki, bo bydło zapadało na chorobę racicową, którą — jak twierdzili weterynarze — sarny poroznosiły (!!). Otóż to ustanie moi panowie, jeśli tylko ogłosicie polowanie jako wolne dla wszystkich, bo wtedy i ze sarnami prędko się skończy!“

Przeciw tym dzikim poglądom wystąpił ze spokojnemi i bardzo racyonalnemi uwagami namiestnik Kielmansegg. Oświadczył, że rząd przygotowuje projekt nowej ustawy, lecz jest w niej rozdział, który wymaga jeszcze dalszych badań i opóźnił wniesienie projektu, tj. sprawa odszkodowań. Posłowie mówią o „przywilejach“ -- lecz te zniesione zostały jeszcze w r. 1849., a jeżeli ograniczono prawo samodzielnego polowania do obszaru 200 morgów, i ze względów kultury łowieckiej i bezpieczeństwa postanowiono, aby prawo polowania na mniejszych parcelach tylko łącznie, w drodze dzierżawy było oddawane i wykonywane, to uznano jedynie konieczność obustronnej umowy dzierżawnej, ale nie stworzono wcale nowego przywileju. Skarzy się jeden z panów, że właściciel gruntu musi zwierzynę żywić. Zapewne, że zwierzę z gruntu korzysta, ale też za to płaci myśliwy właścicielowi gruntu czynsz dzierżawny, a nadto wynagrodzenia za szkody. Mówicie panowie, że odszkodowania są za małe i chłopi krzywdzeni. Ależ my mamy inne doświadczenia, dochodzą do nas skargi, że chłopi przeceniają ponad wszelką miarę wyrządzone szkody i że pewne gatunki płodów rolnych w pewnych miejscach umyślnie tylko dlatego są uprawiane, ażeby sobie módz liczyć wysokie wynagrodzenia za wyrządzone przez zwierzęta szkody. Otóż odszkodowania te, to płaca za wikt zwierząt łownych. A jak ona jest wysoką, dość powiedzieć, że w r. 1894 wszystkie czynsze dzierżawne za polowania wynosiły w Niższej Austryi 239.000 zł., podczas gdy suma odszkodowań doszła w tym samym czasie do 256.000 zł. oprócz dodatkowych jeszcze 5200 zł., które w drodze orzeczenia władz zostały wypłacone. O ile zaś mogę wnosić z raportów dotychczasowych, suma odszkodowań za rok 1895 będzie jeszcze większą, gdyż wzmaga się ona zwykle, jeśli zima jest ciężką. Takiego wykonywania polowania, ażeby każdy chodził po polach ze swą kopystką *(Schiessprügel)* nie mogę panom chyba przyrzekać, bo bezpieczeństwo życia byłoby wówczas bardzo zagrożone.“

Wywody te reprezentanta rządu nie przecięły jednak dalszych lamentów. Na ten sam temat co inni rozwodził się poseł Doetz, a Ritter v. Troll tak mówił między innemi: „Chłop chce przedewszystkiem, aby mu szkód tak wielkich nie wyrządzano. Odszkodowania, które mu bywają przyznawane, nie wystarczają wcale na wynagrodzenie szkód. Trzeba więc wysokie odszkodowania dyktować. A jeśli się dzierżawca polowania będzie skarżył na wygórowane opłaty, to niech nie poluje. Jak mnie nie stać na szampana, to piję piwo, a jak mi i na piwo nie wystarcza, muszę pić wodę. Dzierżawcy polowania niech robią tak samo, jeśli zaś odszkodowania wydają się im za wysokie, to niech wystrzelaja zwierzynę do nogi, a nie będą płacili odszkodowania i pomogą chłopu“.

Z temi żądaniami niszczenia zupełnego zwierzyny występowali i inni. Deputowany Mayer radził, aby wyłapywać zające i żywić ich z owej sumy 256.000 zł. odszkodowań, dla przekonania, że się daleko nie zajedzie, bo zające znacznie

więcej sprzątną. Wynalazł on, że zając oprócz koniczyny, buraków i drzewek owocowych niszczy także winnice o czem jeszcze nikt nie słyszał. „Przypominam sobie jeszcze z moich młodych lat, że mówiono do chłopa: Ty, chłopie z Marchfeldu, nie możesz wiecznie stać przy swej trzypolówce! — ale nie czyniono go równocześnie uważnym na to, że zabawy łowieckie wielkich panów grubo mu do zaprowadzenia płodozmianu przeszkadzają. Wyobraźcie sobie panowie obszar łowiecki 2—300 morgów, na którym w jesieni 1—2000 zajęcy biją. Chciałbym tam widzieć chłopa, który nie pójdzie z torbami. Gdy posadzi buraki, podczas gdy sąsiedzi pszenicę uprawią, to nie będzie miał ani jednego nieogryzionego buraka. Tak samo stanie mu się z koniczyną i w ogóle z każdym płodem rolnym, który będzie odmiennym od sąsiednich zagonów".

P. Schreiber nie bez słuszności zwracał uwagę na przesadną w wielu miejscach hodowlę zwierząt łownych, które muszą nadzwyczajne szkody wyrządzać.

P. Oberndorfer żalił się na szykany władz w zarządzeniach, tyczących się ustanawiania dozorców polowania. „Dziś myślą — mówił ten poseł — że polowanie istnieje tylko dla dostojnych i majętnych ludzi, a roskosz polowania tylko wtedy możliwa, jeśli jest multum zwierzyny. Jestem przekonany, że niejednemu sportowcowi przyjemniej jest, skoro widzi dużo zajęcy i innej zwierzyny, niż chłopów, pracujących pilnie w polu i pilnie płacących podatki. A dalszym punktem rugowania chłopa od polowań, to sekowanie go egzaminowanymi dozorcami polowania. Dawniej, gdym dzierżawił polowanie, mówiono mi: Musisz pan mieć dozorcę egzaminowanego, albo sam zdać egzamina. Oświadczyłem gotowość do egzaminu i zdałem go — lecz co prawda, nie stałem się przezto mądrzejszym niż przed egzaminem, ale mam świadectwo. A dzisiaj co władze robią? Dziś jest niewątpliwie znacznie więcej takich, co znają przepisy łowieckie i całą techniczną stronę polowań — ale ich usuwają i nie pozwalają im zdawać egzaminu w starostwie. Każą im jechać aż do namiestnictwa na egzamin i tak go utrudniają, że mało kto może się przy egzaminie utrzymać — aby tylko chłopa od dzierżawy polowania odsunąć. Taki, którego przepuszczą przy egzaminie, musi być koniecznie czemś lepszym od chłopa, leśniczym np. (głos w sali: może baronem!) — no nie koniecznie, ale musi się choć starać zostać baronem". (Wesołość).

Dep. Jax przytacza niektóre cyfry z wniesionych petycyj; chłop np. liczy sobie 100 zł. szkody, a przyznają mu 3 do 4 zł. Ale to, co w zbożach zając zje, to jeszcze niewiele w porównaniu do szkód, zrządzanych w sadach i lasach, przez ogryzanie młodych drzewek i niszczenie kultur. Nawet całe zalesienia z ramienia rządu nie udają się wskutek nadmiaru zajęcy, które szkody robią. W obec tego postępowe leśnictwo nie może się ostać. Mowca sądzi, że nawet chów bydła w krajach alpejskich obniża się, bo wielcy miłośnicy łowiectwa obracają znaczne obszary na zwierzyńce, skupują tysiącami cetnarów siana i ograniczają tem samem chów bydła. „To też z ekonomicznego punktu widzenia — mówi dep. Jax — powinniśmy zająć stanowisko polowaniu wręcz przeciwne. Gdy na wyżywienie jednego jelenia 30 morgów obszaru potrzeba, to już jeden morg wystarczy na wyżywienie jednej sztuki bydła. A przecież to co innego dla człowieku sztuka bydła, z której cały rok rozliczne ciągnie korzyści, niż jeleń, który nietylko lasowi szkodzi, lecz jeszcze w kulturach rolnych czyni szkody.... Wedle dochodzeń, które wskutek mej inicyatywy Wydział krajowy przeszłego roku w dwóch okręgach sądowych przeprowadził, pokazało się, że w ostatnich dziesięciu latach zniknęło tam 10.000 morgów gruntów chłopskich, które wykupiono i do obszarów łowieckich wcielono. A jak chłopom się wiedzie, to wystarczy przytoczyć, że obecnie w Przedlitawii co 35 minut, wyraźnie co 35 minut, jedną zagrodę chłopską w drodze egzekucyi sprzedają. Do czego to doprowadzi? Chłop jest materyałem dla armii, opłaca podatki — a jak tak dalej pójdzie, to do dziesięciu lat nie będziemy już mieli całkiem chłopów. Wtedy podzielicie się panowie władzą z socyalnymi demokratami, a ludność będą stanowili anarchiści, jelenie, sarny i zające".

Przeciw tym skrajnym, przesadnym zapatrywaniom wystąpił książę Auersperg z kilku trzeźwemi uwagami. Zauważył przedewszystkiem bardzo trafnie, że cała batalia nie toczy się o wyższe lub niższe odszkodowania, lecz o wykonywanie prawa polowania. „Właściciel gruntu — mówił książę — chce na swoim gruncie polować, a zaprzeczyć niepodobna, że prawo polowania wedle dzisiejszych przepisów jest do pewnego stopnia ograniczeniem prawa własności, ciążącem na gruncie. Możecie więc panowie atakować prawo łowieckie z tego punktu widzenia i stawiać żądanie, aby każdy na swoim gruncie polował — ale w takim wypadku nie potrzeba się całkiem troszczyć o ustawę łowiecką, bo wszelkim łowom położy się koniec.

„Są pewne szkody wyrządzane przez zwierzynę, których nie sposób wynagrodzić, mianowicie szkody w lesie i w kulturach lasowych. Tu obojętnem jest właścicielowi lasu, czy dostanie mniejsze czy większe wynagrodzenie, bo on w ogóle chce mieć las, a dochować się go nie może. Przyznaję panom pod tym względem słuszność i dlatego życzyłbym sobie, ażeby tam, gdzie zwierzyna nie może być hodowana, nie hodowano jej wcale. Lecz co się tyczy szkód w polach ornych, stanowczo twierdzę, że szkody przez zwierzynę wyrządzane są dostatecznie wynagradzane. Proszę wziąć na uwagę, ile pieniędzy płynie w ludność wiejską z tytułu czynszów dzierżawnych za polowania i tytułem odszkodowań. W Niższej Austryi wynosi ten dochód 5 prc. całego czystego dochodu katastralnego.

„Łowy są poprostu namiętnością, którą dziś ludność wiejska wyzyskuje, bo wiadomo, że namiętność nie lubi prowadzić rachunków i że ogarnięty namiętnością polowania da się skłonić do takich opłat, na jakieby się w innym wypadku nie zgodził. Żeby tylko nie roztrwaniano tych opłat, to wnet zaważyłyby one jako czynnik ekonomiczny w budżetach gmin i poszczególnych właścicieli gruntów.

„Polowanie jest zdrową, pokrzepiającą rozrywką, a jeśli panowie twierdzicie, że jest ono przywilejem klas wyższych, to wyciągacie stosunki z dawnych czasów. Dzisiaj tak już nie jest. Poważni mieszczanie, chłopek i księżyna ciągną dziś także do kniei, i ogół myśliwców nie jest wcale tak ekskluzywnym, owszem, ogarnia wszystkie klasy społeczne, a polowanie przynosi całemu krajowi znaczny pożytek. Lecz bez ograniczeń pewnych prawo polowania nie mogłoby być wykonywane i wypadłoby całkiem ze szkodą dla kraju".

Wywody te nie podobały się p. Steinerowi, wystąpił więc, aby jeszcze raz skruszyć kopię w obronie wolności polowania. Przytaczał on stosunki myśliwskie „Vorortów" wiedeńskich i bardzo charakterystycznym jest następujący ustęp z jego przemówienia.

„Co do mnie, oświadczam, że nie byłem jeszcze na żadnem polowaniu, bo jeszcze mi się nigdy tak dobrze nie działo, abym mógł znaleźć czas na polowanie. Lecz mam relacye od właścicieli gruntów. Ci mówią, że wiele zajęcy *(Sandhasen)* kręci się u stóp Kahlenbergu, ale nie będzie

ich można wystrzelać, jeśli nam nie dadzą wolności polowania. Przemawiałem więc za tem w magistracie i przeparłem ich żądanie. Namiestnictwo wydało dla tego okręgu pozwolenie — *dass mann bei den Sandhasen maxeln kann* — i to pomogło. Ale myśliwi byli na mnie oburzeni, że coś podobnego popierałem. A więc u nas w XIX okręgu tak się rzecz ma, że dzierżawcą polowania jest człowiek, który nigdy strzelby nie miał w ręku i nigdy nie był na polowaniu. Dzierżawcami są w ogóle właściciele gospód. Ośmiu stanowi spółkę myśliwską i gdy tylko jaki zając z lasów Korneuburskich głowę wychyli, już leży zastrzelony. Bardzo nam z tem dobrze i będziemy szczęśliwi, jeżeli w całym okręgu nie będziemy mieli ani jednego zająca".

Po Steinerze, wygłaszającym tak budujące zapatrywania łowieckie i cieszącym się z legalnie zorganizowanego kłusownictwa, zabrał głos znany przywódca antisemitów wiedeńskich dr. Lueger.

Wynurzywszy żal, że rząd zamiast doraźnie opracować projekt ustawy, któryby ratował chłopów, zanim zupełnie będą zrujnowani, puszcza się na szerokie ankiety — tak dalej mówił:

„I z ustawą łowiecką jest tak samo. Każdy wie o tem, że zając więcej zeżre niż sam wart, tak samo jeleń i sarna i każda zwierzyna. Mówiono mi, że zając trzy a nawet pięć razy więcej zje niż sam wart — a tymczasem rząd nam opowiada, że robi ciągle studya. Kiedy tak, to jeszcze długo potrwa, nim się z ustawą zobaczymy. Dziwi mnie, że panowie od Wydziału krajowego nie powiedzieli, jakie mają być zasady nowej ustawy; mnie szepnął poseł Scheicher, że mu mówił namiestnik, iż nowa ustawa będzie miała 100 paragrafów! (Wesołość). Kiedy tak, to z pewnością będzie zła, bo każda ustawa czem dłuższa, tem gorsza. Teraz to jest tak: Jeśli ktoś pójdzie na pole swego sąsiada, zabierze mu tam trochę zieleniny i chce to zanieść do domu, to go zasądzą za kradzież i zamkną. Ale jeżeli jeleń pana hrabiego wyjdzie na chłopskie pole, to chłop musi to cierpieć, i pójdzie do kozy, gdyby jelenia zabił. Jest w tem coś tak monstrualnego, że chyba tylko obszarnik nie może tego zrozumieć. Nie będzie pierwej spokoju, dopóki nie przyznacie każdemu prawa polowania na jego kawałku gruntu — a choćby to był taki grunt jak ta sala, niech strzela i morduje, co me pod lufę wlezie. Lecz powiedzą mi panowie: wtedy i zajęcy nie będzie. Owszem, będą, bo obszarniki postarają się, aby je u siebie hodować, i największą uciechą będzie wtedy dla chłopa, jeśli wyrżnie pańskiego jelenia, który mu na grunt przyjdzie. Będzie to najpyszniejsza zabawa, jaką chłop mieć może".

Po tej zaiste bezczelnej pochwale dzikich, bezprawnych stosunków, oświadczył Lueger, że dla niego proponowana rezolucya jest nic nieznaczącą i bladą i wniósł od siebie następującą: „Wzywa się c. k. rząd, ażeby przedłożył jak najrychlej projekt ustawy łowieckiej, w którejby wolność polowania, o ile to jest możliwem, każdemu właścicielowi gruntu była przyznaną".

„Zalecam panom uchwalenie tej rezolucyi — kończył dr. Lueger — ona najlepiej poskutkuje. Jeżeli właściciel gruntu zmiarkuje, że tu i owdzie jeleń na jego grunta podchodzi, natenczas — a nasz chłop jest mądry i zna się na tem — zasadzi on się na niego i wnet go sprzątnie. Naówczas obszarnik będzie się miał na ostrożności, nie chcąc jeleni swych dać chłopu na pastwę, i ogrodzi sobie swój teren myśliwski. Wtedy może sobie trzymać jeleni, ile mu się podoba — *und meinetwegen auch den Baron Hirsch*!"

Po wesołości, którą ten zwrot humorystyczny i cały brutalny ton mowy Luegera wywołał, sprzeciwił się jego radykalnej rezolucyi poseł Pirquet. Mówili jeszcze antysemita Gregorig i sprawozdawca. Pierwszy wywodził, że największe polowania trzymają obszarnicy, ale oni są właściwie tylko zastępcami żydów. Po dwudziestu latach na miejscu obszarników będą tylko *Grossjuden*. „Idźcie panowie do lasu — mówił Gregorig — a zobaczycie tam *den Grossjuden Guttmann*, i przekonacie się, jak tam chłop jest łupiony".

Przyszło nareszcie do głosowania. Rezolucya Luegera została odrzuconą, ale tylko 22 głosami przeciw 17, odrzucono także poprawkę ks. Auersperga i uchwalono rezolucyę komisyi.

Powyższe streszczenie dyskusyi jest tak wymowne i ukazuje tak jasno, co tkwi poza całym szturmem na łowiectwo, że wszelkie dalsze komentarze wydają się nam zbyteczne.

W Gracu.

W sejmie styryjskim został cały projekt nowej ustawy łowieckiej wniesiony i pod obrady wzięty. Debaty, których nam tu streszczać nie podobna, były długie, nużące i chwilami drażliwe. Uderzano także z rozmaitych powodów na biedne łowiectwo i łowców. Rozprawy doszły już do §. 52, w którym sprawa zajęcy figurowała — gdy wtem Izba znużona uchwaliła odesłać cały projekt do Wydziału krajowego. Na rok przeto została reforma ustawy łowieckiej w Styryi odroczona.

Przebieg sprawy przedstawia się w krótkości jak następuje:

Od kilku lat już podnoszonym był przez posła Hagenhofera wniosek, ażeby wydzierżawianie polowań gminnych pozostawić zupełnie gminom, t. j. uczynić zależnem od ich woli, czy chcą polowania wydzierżawiać, czy same prawo polowania wykonywać. To dało powód do zajęcia się ustawą łowiecką i Wydział krajowy wniósł na ostatniej sesyi sejmowej nowy projekt ustawy. Projekt ten orzekał, że w 24 okręgach sądowych dolnej i środkowej Styryi, uznaje się zająca za zwierzynę szkodliwą i znosi się wszelką jego ochronę. Radom gminnym w tych okręgach pozostawiał projekt prawo zezwalania $^{2}/_{3}$ głosów, ażeby właściciele gruntów i upoważnieni przez nich domownicy nastawiali siłka na zające, chwytali je i zabijali, przyczem jednak użycie broni palnej nie było dozwolone.

Paragraf taki groził zupełną zagładą niższych łowów w przeważnej części Styryi.

Komisya sejmowa, do której projekt został odesłany, nie zgodziła się na takie postanowienia. Wnosiła wprawdzie, ażeby w całej Styryi znieść czas ochrony dla zajęcy, ale zastrzegła, że tam, gdzie przynajmniej 5% gruntów, pominąwszy lasy, użyto pod uprawę wina, mają gminy prawo żądania od dzierżawcy polowania, aby zające tępił. Gdyby zaś dzierżawca polowania tego nie czynił, nakładała na polityczną władzę powiatową obowiązek ustanowienia fachowych ludzi, którzyby zające strzelali i jako wynagrodzenie swych trudów brali je na własność.

Z uwagi na przesadny zwierzostan sarn i jeleni w niektórych górskich okolicach Styryi, proponowała dalej komisya, zmienić czas ochrony dla jeleni i ustanowić go od 1. stycznia do 24. czerwca i od 15. października do 1. grudnia, a łań i cieląt od 15. stycznia do 1. sierpnia, a nadto zarządzać odstrzelania i w czasie ochrony w razie nadmiaru zwierząt.

Czy w przyszłym roku da się krucyata na szaraka powstrzymać — bardzo jest wątpliwem. Z rokiem b. kończy się kadencya sejmu styryjskiego, ponieważ zaś agitacya przeciw łowiectwu jest popularną i można na nią głosy chłopów pozyskiwać, może się sytuacya w przyszłym sejmie zmienić raczej na gorsze niż na lepsze. Biedny szarak!

W obronie zająca.

Gdy tak ze wszech stron na biednego szaraka uderzają, zamieszcza zawodowy pomolog Hugo v. Berks w wiedeńskiej *Jagd Ztg.* kilka uwag w obronie zająca. Powód do tego dał mu właśnie zamach sejmu styryjskiego przeciw szarakom.

„Dwa głównie oskarzenia — pisze p. Berks — wytaczają przeciw zającowi: po pierwsze, że ogryza drzewka owocowe i niszczy tem sady, powtóre, że ogryza winograd, szczególniej amerykański, z którego ma wszystkie oczka objadać.

„Od dwudziestu lat zajmuję się teoretycznie i praktycznie sadownictwem, i jestem także w literaturze pomologicznej czynny, mogę więc przyznać sobie choćby skromne znawstwo w sprawie szkód, które zając sadownikowi wyrządza. I tu powiem odrazu, że jeden zając w kilku tylko nocach może całe setki drzewek owocowych do szczętu zniszczyć. „Może“ — powiedziałem — ale tylko wtedy, jeśli się nie zrobi tego, co każdy porządny sadownik zrobić powinien. Jeżeli mianowicie wcześnie w jesieni osłoni się drzewka trzciną stawową albo pręciem wierzbiny, których zając nie tyka, to nie ma się co szkody obawiać. Moje na tysiące jabłoni liczące się sady nie ucierpiały nic od zajęcy przez 15 lat, odkąd są tak ochraniane, a przecież nie brak mi zajęcy, bo pada ich corocznie 70 do 80 sztuk. Wynika więc z tego, że racyonalna hodowla drzew owocowych i hodowla zajęcy mogą obok siebie istnieć. Dodam przytem, że jako tako wyćwiczony robotnik może w ciągu krótkiego dnia jesiennego owiązać co najmniej 100 drzewek, że przeto koszt robocizny na pół centa od drzewka wypada.

„Zachodzi więc pytanie, czy ten, który nawet tak minimalnej ochrony swych drzewek nie zarządzi, i poprostu na miano dobrego gospodarza nie zasługuje, ma prawo domagać się, aby dla niego wyjątkowe przepisy ustanawiano?

„Na to zresztą, że sadownictwo i zające mogą obok siebie istnieć, mamy bardzo dobitne dowody, bo okolice, w których sadownictwo wysoko jest rozwinięte, odznaczają się częstokroć i najświetniejszemi polowaniami na zające. Do takich np. należą okolice Lobositz w Czechach i Raabthal w Styryi. A właśnie dolna Styrya, w której chcą razzie na zające urządzać, nie może z wymienionemi okolicami iść nawet w porównanie co do ilości zajęcy — zaś o nadmiernym ich zwierzostanie nie ma ani mowy.

„Co się tyczy drugiego oskarzenia, że zając winograd ogryza, to w starych naszych gatunkach wina bardzo rzadko się to zdarzało i było bez znaczenia. Mówią mi jednak kompetentni znawcy, że w amerykańskich gatunkach winogradu, który ma bujniejsze oczka, zając istotnie robi szkody Przyjmuję to za pewnik. Lecz ileż jest owych amerykańskich winnic, ażeby dla nich zająca poświęcać? Proszę o cyfry! Nikt ich nie podaje, bo ilość tych obszarów jest bardzo mała. A czyż nie można ich przed zającami ogrodzić? Obszar winnic w całej Styryi liczy około 40.000 morgów, a lasów 667.781. Czyż więc przy takiej obfitości drzewa braknie materyału na ogrodzenie winnic? A jeszcze do tego przy tych kosztownych amerykańskich sadzonkach! Jeśli kto 1000 zł. na morg winnicy wyda, to może już za 50 lub 100 zł. ogrodzeniem od zająców się zabezpieczyć, podczas gdy nie jest w stanie wszystkich zajęcy wytępić i bez ogrodzenia zawsze na szkodę będzie narażony.

„Niech ustawa każe winnice ogradzać i przyzna właścicielowi prawo bicia każdego zająca, który mu się mimo to do winnicy zakradnie — a będzie słusznie.

„Jeżeli zaś wyda się wyrok zagłady na zające, to pójdą za tem kuropatwy i bażanty i całe niższe polowanie, bo chłop rozochocony raz do łowów, wybijać będzie wszystko, co mu się pod rękę dostanie.“

* * *

Na tych uwagach obcego pióra kończymy relacyę z kampanii anti-szarakowej, która w ubiegłej sesyi aż trzy sejmy przedlitawskie poburzyła.

St.

Samołówki indyjskie.

Gdyby badaczom dziejów zabrakło innych dowodów, sprawdzających aryjskie pochodzenie Słowian, to dość byłoby zbadać, jak lud różnych okolic Indyj przedgangesowych nastawia samołówki na ptactwo i zwierza, ażeby udowodnić, że rolnik indyjski a chłop słowiański to rodem kury czubate.

Sposoby łowienia zwierza, wymagające najdokładniejszej znajomości jego sposobu życia i zachowania się w różnych okolicznościach, nie mogły być wynalazkiem jednego człowieka. Powstawały one i utrwalały się na gruncie długich a cierpliwych badań i doświadczeń w ciągu całych pokoleń, doskonaliły się z biegiem czasu, przechodziły dziedzictwem jako sekreta rodzinne z dziada na wnuka — i nie dziw, że w czasie wędrówek plemion indoaryjskich przeniosły się z Azyi na zachód do różnych zakątków Europy. Towarzyszyły one tylko innym, ważniejszym gałęziom przemysłu domowego, jak tkactwu, garncarstwu, koszykarstwu itp., w których także co do kształtów, techniki i ornamentów piętno wspólności zostało zachowane.

W Pendżabie, w nizinach podhimalayskich, istnieją jeszcze po dziś dzień rozległe moczary, na których zimową porą przebywa mnóstwo kaczek, gęsi i wszelakiego ptactwa wodnego i błotnego. Jednym z najidealniejszych, szczególniej ze względu na obfitość bekasów, jest moczar Kanhwan, niegdyś ulubione miejsce wycieczek myśliwskich Rundżita Singh'a, byłego maharadży Pendżabu. Z licznym dworem i służbą, konno lub na słoniu, z sieciami, bronią palną, sokołami i psami wybierał się tam maharadża i polował na ptactwo, antylopy, dziki i wilki.

W skutek wykopania kanału, który Anglicy przez okolice te przeprowadzili, zmniejszył się znacznie moczar Kanhwan, lecz zawsze jest jeszcze ostoją licznego zwierza łownego. Cała ludność okoliczna korzysta z niego i z pomniej-

szych błot, wycinając trawy i sitnik na paszę, maty i kosze, łowiąc ptactwo i ryby w jeziorach i przecinających moczar potokach i handlując niemi na targach w Gurdaspur, Amritsar i Lahorze.

Najzwyklejsze łowy na dzikie kaczki odbywają się za pomocą dużych, na tykach osadzonych sieci, do których kaczki nocą napędzają. Inna metoda polega na użyciu włosiennych kluczek. Są one przyczepione do mocnego sznura, który, zaopatrzony tu i owdzie korkami, utrzymuje się na powierzchni wody. Kluczki są mniej więcej na odległość stopy jedna od drugiej, a sznur przecina otwartą halawkę, przez którą kaczki zazwyczaj przepływają. Gdy stado na wodę zapadnie, wtedy jeden z tych, co sidła założyli, pojawia się na brzegu, wsiada do czółna i steruje niem tak, ażeby kaczki ku sidłom napędzić. Kaczki dopłynąwszy do sznura, który podobnym jest do smugi wodnych roślin, zanurzają się, aby podeń podpłynąć i najczęściej z kluczkami na szyi pojawiają się schwytane po drugiej stronie.

Do tego samego celu służy także rodzaj kojców z sitnika, które po stósownem obciążeniu zanużone są w wodzie a zaopatrzone drzwiczkami, ustępującemi łatwo pod naciskiem kaczki, lecz zamykającemi się automatycznie, gdy kaczka je minie. Kojce te zastawiane są w wąskich przesmykach między trzcinami, gdzie ptak, chcąc je przebyć, musi i tak z plątaniną wodnych roślin walczyć.

Bywa także i haczyk wędkowy na kaczki używany. W tym celu wbija kłusownik tyczkę w dno jeziora tak, ażeby ponad zwierciadło wody nie wystawała, i do górnego końca przymocowuje sznurek z haczkiem, na którym umieszcza chrząszcza wodnego, rodzaj kałużnicy. Połykając chciwie kałużnicę, chwyta się kaczka na haczek zupełnie tak, jak ryba.

W czasie zimowych przelotów, siadają na moczarach Pendżabu stada żórawi. Polują na nie pastuchy indyjscy w oryginalny sposób. Przywiązują na końcu bata kamyk i używając go zręcznie jako lassa, chwytają biedne żórawie za szyje.

Na antylopę są znowu inne sposoby. W ogóle walka z tem zwierzęciem, tam, gdzie jest bardziej rozmnożone, staje się koniecznością, gdy po osuszeniu bagien, przebiciu kanałów i rowów, znaczne przestrzenie moczarow i dżungli przychodzą pod uprawę rolną. Szkody, wyrządzane przez stada antylop w polach uprawnych, bywają straszne, rolnik przeto musi stawać w obronie swej pracy i swego plonu i wtedy następują istne „razzie“ rozmnożonych nad miarę antylop. W tym celu zalewają mieszkańcy świeżo wzruszoną rolę i na rozmokły grunt pędzą antylopy przy pomocy gromadnych nagonek. Biedne, chyżonogie antylopy grzęzną, plączą się, padają, są hamowane w swych ruchach, więc dadzą się z łatwością na terenie takim otoczyć i wybić do nogi.

Zresztą używane są na antylopy również samołówki oryginalnej konstrukcyi. Zakładają je na wąskich grobelkach, oddzielających kanał irrygacyjny od pól ornych, którędy antylopy, przenosząc się z miejsca na miejsce, przechodzą, zwłaszcza wtedy, gdy i pola są nawodnione.

Samołówka na antylopy składa się z kółka, które nie ma głowy, lecz w którem wbite są nakształt sprych liczne pręty bambusowe, zaostrzone i zbiegający się w środkowym punkcie koła. Kółko tak przyrządzone, przymocowane i stosownie zamaskowane, kładzie się ponad wykopaną w ziemi dziurą, a sznur i wbity w ziemię pal przytrzymują je w miejscu. Gdy antylopa stąpi na takie kółko, zapada się cewką w jamkę, a silne bambusowe pręty nie dozwalają jej się z samołówki uwolnić.

Ten rodzaj samołówek jest bardzo w Indyach rozpowszechniony; podróżnicy znaleźli go także na wyżynie tybetańskiej. Coś podobnego, tylko w większych rozmiarach, służy również Abisyńczykom do łowienia nosorożców, a pokoleniom nad źródłami Nilu na bawoły i do chwytania gazel.

J. Z.

Pomór zajęcy.

Warszawski „Jeździec i Myśliwy“, biorąc pohop z dostrzeżonej w Królestwie epidemii na zające, zamieścił następujący artykuł:

Rok bieżący, pod względem warunków pomyślnych dla zwierzyny, zapowiadał się zupełnie sprzyjająco. Po niezbyt ciężkiej zimie, nastąpiła wiosna, nie odznaczająca się żadnemi nagłemi zmianami pogody, a w ciągu lata nie było prawie wcale długotrwających deszczów, ani też burz lub ulew, któreby na ląg zwierzyny niekorzystnie oddziałać mogły. Tymczasem w niektórych okolicach kraju zaczęto znajdywać zdechłe zające. Pierwsze alarmujące wieści wyszły z gub. lubelskiej, gdzie już w miesiącu maju pomór ich zauważono. W gub. płockiej i piotrkowskiej spostrzeżono to przy sprzęcie zboża, a w okolicach Warszawy jakoby dopiero w końcu września i w październiku.

Nic tak szybko nie rozpowszechnia się, jak złe wieści; to też lotem błyskawicy złowieszcze widmo obawy rozbiegło się po całym kraju, nie na żarty zatrważając lubowników myśliwstwa. Z biegiem jednakże czasu zaniepokojenie cichnąć zaczęło, z wyjątkiem tych tylko miejscowości, gdzie pomór przybrał szersze nieco rozmiary.

Prawie wszyscy myśliwi zaczęli jednomyślnie posądzać, jako sprawczynie złego, *motylice*, przypisując im tę niezmierną siłę zabójczą dla zajęczego rodu. Rodzi się zatem pytanie, czy to posądzenie jest rzeczywiście uzasadnionem, lub też tylko gołosłownem echem tego, co ktoś tak sobie powiedział?

Dziś, kiedy „Jeździec i Myśliwy“ tak chętnie udziela swych szpalt dla wspólnej wymiany zdań, tyczących się spraw krajowego łowiectwa, przyszła mi myśl wypowiedzenia w tej kwestyi moich zapatrywań, oraz przytoczenia tego, co w tym względzie uczeni naturaliści i badacze napisali.

Prócz tak powszechnego prześladowania, na jakie zając od ludzi i zwierząt jest narażonym, przeróżne jeszcze choroby, jakim podlega, wielce przyczyniają się do skracania jego żywota. Znany z sumiennych prac Deobel i ze szczegółowych anatomicznych badań Goeze, z niemiecką akuratnością opisują różne choroby, jakim te zwierzęta podlegają, a o wnętrzniakach mniej więcej w następujący sposób opowiadają.

W niezwykłych rozmiarów wnętrznościach zająca, obok znacznej masy nie strawionych pokarmów, przemieszkują

w dużych ilościach różne gatunki żyjątek. Jedne z nich są kształtu jakby włosa, gdy drugie są poprostu bąblowcami, w formie przechodowej tasiemca, które po pewnym przeciągu czasu dojrzewając, wychodzą na zewnątrz. Wątroba zajęcza, jak powiada Goeze, jest nieraz formalnym składem robaków, osobliwie w porze jesiennej i wygląda wówczas, jak gdyby była całkowicie grochem obsypana. Są to pęcherzyki, zajęte przez tasiemce, takie same, jakie napotykać się dają i u innych zwierząt, tylko rozmiarami się różniące. W kiszkach zająca znajdują się także tasiemce, z których jedne bywają kształtu lancetowatego, gdy drugie znacznej długości, jakby taśma robiona na drutach.

Co do motylic, nawiedzających jakoby zające, to myśliwi z uczonymi badaczami przyrody są w tym względzie w sprzeczności. Pierwsi utrzymują, jakoby zające tak samo, jak owce, podlegały epidemii motyliczej, gdy drudzy przypuszczają tylko możność zapadania na tę chorobę pojedynczych jednostek.

Dla łatwiejszego rozjaśnienia tej kwestyi należy koniecznie, chociaż w krótkości, przytoczyć nieco wiadomości o tem wielce ciekawem żyjątku, zaczerpniętych z różnych poważniejszych źródeł. Między innemi w „Encyklopedyi Rolniczej“ znajdujemy taki opis:

„*Motylice* (destomidae) inaczej *przywarami* zwane, są to maleńkie dwupłciowe żyjątka, które jako dojrzałe osiedlają się w wewnętrznych organach zwierząt kręgowych, szczególniej w przewodzie pokarmowym, wątrobie lub naczyniach krwionośnych. Motylice odbywają bardzo ciekawe wędrówki, oraz podlegają przeobrażeniom, połączonym z przemianą pokoleń.

„Wędrówki tych wewnętrznych pasożytów tak są zawiłe i dla badań niedostępne, że ściśle mówiąc, historya ich składa się dotychczas z samych urywków. Pomimo to prace utalentowanych badaczy, jak Bojanus, Baer, Siebold, Steenstrup, de Filippi, Wagener, Moulinié, de la Valette, St. George, van Beneden i Leuckart, o tyle wyjaśniły cały przebieg ich rozwoju, że zestawiając urywkowe spostrzeżenia, można złożyć całość nie tylko prawdopodobną, ale bez żadnego wątpienia zupełnie prawdziwą.

„Skorupa jajowa motylic jest cienka i opatrzona odskakującem denkiem. Jajko opuszcza gospodarza i rozwija się w wodzie. Po pewnym, mniej więcej długim czasie, niekiedy po upływie tygodni albo nawet miesięcy, powstaje w jajku zarodek, będący, jak się zdaje, nieodzownym żywiołem wszystkich świeżo wylęgłych motylic.

„Mikroskopowy zarodek najczęściej bywa pokryty rzęsami na całem ciele, niekiedy tylko na przodzie, a jeszcze rzadziej miewa ciało zupełnie nagie, t. j. bez rzęs. Zarodki, rzęsami pokryte, posiadają mniej więcej rozwinięte naczynia wodne, czasami słabo rozwinięty przewód pokarmowy, oraz parzystą plamkę barwnikową, w niektórych razach nawet z ciałkiem, załamującem promienie światła; z tego to powodu plamki te zdają się przedstawiać zaczątkowe oko.

„Zarodek przy pomocy rzęs pływa w wodzie, albo też, nie posiadając tych organów miejscozmienności, czołga się po dnie. Ruchy jego wkrótce jednak wolnieją i o zarodkach rzęsowych wiadomo, że osiadają na jakiem wodnem zwierzęciu, gdy tymczasem dalszy los nagich nie jest jeszcze wiadomy. Zarodek, spotkawszy odpowiednie zwierzę, najczęściej mięczaka, zatrzymuje się na niem i zdaje się wyszukiwać odpowiednie miejsce; znalazłszy je, zwolna zagłębia się w tkanki nowoobranego gospodarza, tracąc przytem rzęsowate swe pokrycie. Zarodek, usadowiwszy się w gospodarzu, wyrasta na stosunkowo dużą, workowatą istotę, którą odróżniamy pod nazwą *sporocystis* lub *redia*, stosownie do tego, czy jest pozbawiona wszelkich śladów przewodu pokarmowego, czyli też posiada jakieś jego zawiązki. Sporocysty rozmnażają się także przez podział, oraz podobnie jak i redie drogą wewnętrznego pączkowania, bardzo często wydają nowe pokolenie podobnych do siebie istot, lub też odmiennie zbudowane potomstwo, zwane *cerkariami*, które przez długi czas uważano za samodzielne i odrębne skupienie zoologiczne.

„Cerkaria jest poprostu młodą motylicą, lecz niema jeszcze organów płciowych, albo co najwięcej posiada je w stanie zawiązkowym, a z drugiej strony jest opatrzona rozmaicie rozwiniętym ogonkiem, którego dojrzałe motylice nigdy nie mają. Ogonek jest organem miejscozmienności, a nadto odgrywa ważną rolę podczas przejścia cerkarii do nowego gospodarza. Niektóre cerkarie są także uzbrojone kolcem osadzonym na przednim końcu ciała, a inne znowu ogonka nie posiadają.

„Cerkarie wychodzą z redii szczególnym otworem rodzajnym, ze sporocyt zaś wydostają się, przebijając ściankę ciała rodzica. Cerkarie opuszczają gospodarza, w którym się wylęgły, i wydostawszy się na wolność, pływają w wodzie bijąc ogonkiem, albo też pełzają na wzór pijawek, przyczepiając się do obcego przedmiotu, to jedną, to drugą przyssawką. Po pewnym przeciągu czasu cerkarie osiadają w nowym gospodarzu, ktoym zwykle bywa mięczak, skorupiak lub wodna gąsienica, do których dostają się, przebiwszy ich skórę. Rozwój otorbielonej cerkarii polega na powolnym wzroście, a niekiedy obok tego na pojawieniu się zawiązków części rodnych, które pospolicie zupełnie rozwijają się dopiero wtedy, gdy młoda motylica — bo tak można nazwać zasklepioną cerkarię — dostanie się do ostatecznego gospodarza.

„Dalszy rozwój motylicy zależy od szczęśliwego wypadku, który ją wraz z gospodarzem wprowadza do żołądka właściwego zwierzęcia, to jest innemi słowy, dalszy rozwój następuje dopiero wtedy, gdy motylica zostanie połknięta przez odpowiednie zwierzę kręgowe. Ciało tymczasowego gospodarza, oraz torebka otaczająca pasożyta, zostają strawione, a wyswobodzona motylica miejsce stałego pobytu najczęściej obiera w kiszkach lub wątrobie.

„Przytoczone szczegóły wędrówek dostatecznie dowodzą, że zarażenie się motylicami następuje skutkiem pochłonięcia zwierząt, będących gospodarzem otorbielonego robaka; że zaś gospodarzem po największej części bywają mięczaki, które pospolicie mieszkają na roślinach, wybierając przytem wilgotne miejscowości, łatwo pojąć, że motylicami zarażają się trawożerne zwierzęta, np. owce pasane na wilgotnych wygonach“.

Zarażać się także mogą zwierzęta, pijąc wodę, w której znajdują się zarodki motylic. Mokre lata sprzyjają rozwojowi choroby, a długo stojąca woda w niższych zbiornikach, jak łąkach, kałużach lub głębokich kolejach po drogach, są zwykłymi rozsadnikami tych niebezpiecznych pasożytów.

Haubner w swej „Weterynaryi gospodarskiej“ wspomina, co jest wielce zasługującem na uwagę, *że pośrednie stopnie rozwoju motylic przypadają jedynie na początku lata*, i z tego powodu przed św. Janem niema się co obawiać pastwisk, nawet znanych jako niebezpieczne, podobnież i w późnej jesieni, gdy się już okazały przymrozki.

Tenże autor, opisując przebieg choroby motylicowej, między innemi powiada: „Choroba postępuje zwolna i nie

może być z początku rozpoznana, dopiero później, gdy dosięgnie już pewnego stopnia, występują widoczne objawy choroby, ale nie mające nic charakterystycznego. Są to objawy niedostatecznego odżywiania (bladaczka, wychudzenie), czasami połączone z objawemi żółtaczki, a pod koniec przyłączyć się jeszcze mogą oznaki wodnej puchliny. Tylko sekcya zapewnić może rozpoznanie. *Rozwój choroby ma miejsce pod koniec lata i w jesieni i dopiero w zimie występuje choroba zupełnie rozwinięta*".

Jeżeli weźmiemy na uwagę to wszystko, co się powyżej przytoczyło o motylicach, następnie wyjątkową suchość wiosny i lata, oraz sposób życia zająca, to staje się możliwym wniosek, że powodem tegorocznego pomoru zajęcy nie mogły być motylice, lecz inna jakaś nieznana choroba. Zając w ciągu lata, mając podostatkiem soczystego pożywienia, prawie że niedba o wodę, którą mógłby gasić pragnienie, lecz wyszukuje jej dopiero zimową porą, gdy z konieczności musi się żywić mało soczystymi pędami gałązek, korą drzew lub wystającemi z pod śniegu zeschłemi żdźbłami traw, wysoko wyrastających. Jako wybredny smakosz, nie żywi się nigdy po łąkach ani też na nisko położonych miejscowościach, gdyż woli wychodzić na żer w uprawne pola, gdzie do wyboru znajduje dostatek różnorodnego pożywienia. Zatem, jak widzimy, zającowi, jako nie używającemu prawie wody, jak również nie jedzącemu żadnych kwaśnych i ostrych roślin, na których mogłyby znajdować się ślimaczki, trudno zarazić się motylicami. Nie mogła też być powodem padania zajęcy ani biegunka, ani choroba łubinowa, bowiem skutki tak jednej jak i drugiej uwidoczniłyby się zaraz na samym początku wiosny, tymczasem zające, jak ze sprawozdań wiadomo, padać dopiero zaczęły w środku lata i pod jesień.

Żałować należy, że myśliwi, u których grasowała ta epidemia, nie wpadli na myśl przysłania chorych lub padłych egzemplarzy do laboratoryum anatomi patologicznej, znajdującego się przy warszawskim uniwersytecie, lub też do Instytutu weterynaryjnego, gdzieby niezawodnie z chęcią podjęto się szczegółowego zbadania przyczyn pomoru.

J. B.

KORESPONDENCYE.

Nikłowice, 12. marca 1896.

(Bezczelność czy starokawalerski przesyt życia?)

Dowód bezczelności lub lekceważenia życia, większy niż w Hawłowicach lub w Makuniowie, dał lis Nikłowiecki, który przez dłuższy czas, bo prawie przez cały styczeń myszkował i był codziennie widziany koło drogi publicznej, dość często używanej. Nie bał się wcale fur przejeżdżających, przez które zawsze prawie był płoszony, i nie uciekał na widok przechodniów.

Lecz przyszła kryska na matyska. — Jadąc dnia 18 stycznia około godziny 9. wieczór do domu, widzę tego lisa, siedzącego zaledwie na 20 kroków od drogi. Każę tedy zatrzymać konie — zrzucam futro, wyjmuję strzelbę z futerału — a lis siedzi i przypatruje się temu, co robię. Chcę wyjąć patrony z torebki, i dopiero spostrzegam, że przez zapomnienie zostawiłem ją na leśnictwie. Ale mam zwyczaj mieć czasem patrony w kieszeni -- szukam zatem — i na nieszczęście lisa znachodzę jeden. A lis siedzi i spokojnie patrzy na wszystko.

Nakoniec wkładam jedyny znaleziony patron — i głośno zamykam strzelbę. Lis wstaje, obraca się na połeć, lecz nie ucieka, tylko patrzy, co dalej będzie.

No i cóż było? — Padł strzał, a zuchwały lub lekceważący swe futro mykita nakrył się kitą. Był to stary pies.*)

F. J. Wróbel.

Sprawozdania łowieckie.

Zamieszczamy kilka ostatnich sprawozdań o łowach w ubiegłym sezonie. Zima tegoroczna, aczkolwiek nie ciężka, ale zmienna i niespokojna, nie sprzyjała łowom kniejowym, to też mniej odbyło się polowań niż po inne lata. A i o tych, które się odbywały, nie zawsze dochodziła wiadomość do „Łowca". Rycerze z pod sztandaru św. Huberta pochopniejsi bywają do strzałów, niż do gryzmolenia po papierze o swych strzałach i trofeach — i dlatego kronika nasza nie może być nigdy zbliżoną do całości obrazu statystycznego łowów i ubitej zwierzyny. Miejmy jednak nadzieję, że liczba niepoprawnych analfabetów myśliwskich będzie się z każdym rokiem zmniejszała i „Łowiec" dojdzie kiedyś do tego, iż o każdem polowaniu w kraju znajdzie się w nim choćby krótka notatka.

*) Dobrzeby było popytać w okolicy, czy komu nie uciekł chowany w domu lis? *Przyp. red.*

— W grudniu, a mianowicie 22, i 23. odbyło się polowanie w Zagrobeli i ubito na niem 20 kozłów 59 zajęcy i 2 lisy.

— W styczniu, a mianowicie w dn. 8. 9. 10. 11 i 12 odbyło się polowanie w Wysuczce i zabito na niem w 7 strzelb 17 kozłów 281 zajęcy i 6 lisów. Dziki były tą razą nie gęsto w rewirze Wołkowieckim i strzelano do nich bez skutku.

Czarkowski-Golejewski.

— W Pełkini, Głażynie i Piwodzie polował książę Witołd Czartoryski w dniach 21., 22. i 23. stycznia. Pierwszego dnia z powodu okiści na młodych kulturach sosnowych nie można było zwierza wygonić — dlatego rezultat mniej pomyślny. Polowano w Głażynie i Górkach zamanasterskich. W siedm strzelb wzięliśmy 12 miotów i zabiliśmy 6 rogaczy, 1 lisa i 25 zajęcy na 76 strzałów.

Dnia 22. stycznia w Piwodzie w pięciu miotach i w 7 strzelb zabito 2 rogacze, 3 lisy i 110 zajęcy. Brano przeważnie mioty polne. W drugim miocie zginęło 2 lisy i 56 zajęcy.

Dnia 23. stycznia na Chrapach polowano w cztery strzelby na dziki z nagonką i z psami. Czterema strzałami ubito trzy sztuki: odyńca, wycinka i warchlaka. Polowanie było prowadzone z energią i znajomością rzeczy; ład wzorowy, pogonki dwieście kilkadziesiąt, flanki z chorągiewkami,

a zastosowano straszaki, które zatrzymują sarnę i lisa, mniej zająca. Sam widziałem, jak cztery zające przeskoczyło przez nie, choć widziałem także, jak kilka od samych straszaków wróciło w miot, co świadczy o ich pożyteczności.

Teofil Żurowski.

— W Wieczorkach w powiecie Żółkiewskim, w d. 21. stycznia b. r. zajechała liczna drużyna myśliwska w gościnne progi p. Bronisława Langa. Polowaliśmy tam przez dwa dnia 21. i 22. stycznia, a to pierwszego dnia w 25, zaś drugiego dnia już tylko w 10 strzelb.

Wieczorki to jedna z najpiękniejszych kniei w okolicy, toż nie dziw, że bawiliśmy się świetnie, a po dwudniowym pobycie przykro nam było odjeżdżać i rozstawać się z uprzejmym gospodarzem, któremu tak piękną zawdzięczamy zabawę. Stan sarn w Wieczorkach bardzo piękny; zajęcy także nie było mniej niż w poprzednich latach. Ogólny wynik polowania przedstawia się jak następuje: na 130 strzałów ubito 11 rogaczy, 29 zajęcy i 4 lisy.

Dodać jednak muszę, że Diana jak zwykle tak i nam w Wieczorkach różne płatała psoty, ulubieńców swoich darzyła wyjątkowem spotkaniem, podczas gdy innych nie dopuszczała wcale do strzału, to znów na przekór Nowotnemu i Dzikowskiemu tak jakoś rozrzucała śruty po lesie, że aż 10 strzelanych rogaczy uszło bez szwanku. Królem polowania nie po raz pierwszy w życiu był p. A Hulimka.

Leopold Łysakowski.

— W Ordynacyi Łańcuckiej, na polach ubito w ciągu r. 1895 ze zwierzyny drapieżnej: 77 lisów, 6 kun, 53 tchórzów, 157 łasic, 156 dużych, a 318 mniejszych jastrzębi, 2 orły, 3 kruki, 1.969 wron i srok, a nadto 141 włóczących się psów i 359 kotów — razem 3.340 sztuk. Ze zwierzyny pożytecznej padło: 26 rogaczy, 804 zajęcy, 1.354 bażantów, 161 kuroyatw, 308 przepiórek, 1 słonka, 17 dubeltów, 47 kscyków, 6 krzyżówek, 15 cyranek — razem 2.638 sztuk.

Wł. Lewicki.

KRONIKA.

Wyprawa hr. Józefa Potockiego do Afryki została uwieńczona świetnym rezultatem. Uczestnicy wyprawy są już w drodze do Europy i wiozą piękne trofea. Hr. Józef Potocki zabił lwa, nosorożca, słonia i 2 pantery; Tomasz hr. Zamoyski 2 lwy, słonia i 2 hyeny; p. Grudziński 2 lwice i słonia. Nadto różnego rodzaju antylop zabito przeszło 60 sztuk. Cieszymy się już z góry, że hr. Potocki do swych Notatek z Indyi i Cejlonu, dołączy świeże opowiadanie z tej wycieczki w głąb czarnego lądu i nie każe nam długo na nie czekać.

Arcyksiążę Leopold Salwator, udawszy się d. 24. stycznia w Towarzystwie nadżupana Nikolicza z Zagrzebia do Ogulina, polował tam na wytropionego już przedtem niedźwiedzia i ubił go celnym strzałem. Sztuka ważyła 174 funtów.

Niedźwiedzie w Bośnii. Do *Bosnische Post* donoszą z Tirnowa. że pokazał się tam niedźwiedź w biały dzień i zaatakował stado wołów niedaleko serbskiego kościoła, a przytem zranił ciężko pastucha. W kilka dni później alarmowano stacyonowane w miejscu wojsko wiadomością, że w pobliskiej wiosce napadł ogromny myś na wołu i zagryzł go. Zanim uzbrojeni sztućcami oficerowie na miejsce przybyli, nie było już niedźwiedzia.

W Ybnhorście ubito ubiegłego sezonu trzy łosie. Jednego byka ubił ks. Frydryk Leopold pruski, drugiego ks. Pless, trzeciego łowczy krajowy Schultz.

Z literatury myśliwskiej. Przed paru laty, warszawskie Towarzystwo racyonalnego polowania rozpisało konkurs na napisanie najlepszych monografii: sarny, zająca i kuropatwy. Na konkurs nadesłano 7 prac: 1 o sarnie, 4 o zającu i 2 o kuropatwie. Konkurs w lutym b. r. rozstrzygnięto. Jury, w której między innymi zasiadali pp. Al. Rembowski, hr. Toll i Jan Sztolcman, przyznała nagrodę jednej tylko pracy o kuropatwie, opatrzonej godłem *Non multa, sed multum*. Laureatem jest p. Julian Biesiekierski, znany w kołach łowieckich, autor licznych artykułów z dziedziny myśliwstwa. Nagroda wynosi 250 rs. Monografiom o sarnie i zającu nagród nie przyznano, wyróżniono tylko pracę o zającu, podpisaną przez p. Sochackiego.

O hodowli kuropatw zostało wydane w ostatnich czasach niemieckie dziełko p. t. „Das Rebhuhn, dessen Naturgeschichte, künstliche Aufzucht, Jagd und Fang von R. v. Schmiedeberg. Verlag von Paul Parey, Berlin". Autor opracowuje rzecz wszechstronnie i daje wiele praktycznych wskazówek, upewniając, że opiera je na własnem długoletniem doświadczeniu. Nie na wszystko można się tam pisać — bo też hodowla kuropatw zależną jest także od ogólnej kultury rolnej i warunków gospodarstwa, które nie wszędzie są jednakie, — zawsze atoli można z książeczki p. Schmiedeberga wiele skorzystać. Wydanie jest staranne i ozdobione pięknemi ilustracyami.

Kuropatwa pomocnicą rolnika. W pewnej miejscowości Prus Zachodnich, przy sieczeniu paszy zielonej, przecięto kosą starą kuropatwę. Właściciel pola, badacz-naturalista, skorzystał z tej sposobności i zbadał najskrupulatniej wól i żołądek zabitej kuropatwy. Oto wynik jego badań: 300 przeszło ziarn chwastów, polnego maczku, kąkolu i łopuchu, ostu i t. p., dalej rozmaitego rodzaju muszki, ślimaczki polne, pająki, chrząszczyki, owady i tp. robactwo szkodliwe roślinom. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że każda kuropatwa ze stada, liczącego 12 do 15 sztuk, połknie 300 ziarn chwastu i 300 szkodliwych owadów, to 600 razy 15 da liczbę 9.000 szkodliwych rolnictwu chwastów i owadów i to codziennie. Z robactwa szczególniej ślimaczki polne w jesieni niszczą młode roślinki. Jak wielkie powodują zniszczenie, pokazało się w r. 1890, gdy nalęgły się miliony tych ślimaków, a dziwnym przypadkiem nie wyginęły. Nagryzają one małe roślinki zboża i pokrywają je gryzącą, kleistą materyą, tamującą rozwój rośliny. Ślimaczki te wówczas w pewnym majątku na Śląsku zniszczyły około tysiąca morgów oziminy, tak, iż ją trzeba było zaorać. Kuropatwa niszczy także, jak się przekonano, szkodliwą zasiewom pszenicy muszkę heską, bardzo ją lubi i chciwie tępi, gdzie napotka. Muszka ta składa jajka w łodygi pszenicy, a poczwarki jej tępią miliony kłosów. Już dla tej przysługi powinniśmy kuropatwę ochraniać, jako ptaka niesłychanie użytecznego Szkody zaś bardzo mało wyrządza w ziarnie pszenicy, którą także lubi, ale od czasu dojrzenia do żniw, czas krótki, zatem bardzo mało tych ziarn zjada.

Siła wieloryba. Na okręcie, który wyruszył łowić wieloryby, znajdował się przyrodnik dla robienia spostrzeżeń i doświadczeń nad złowionemi zwierzętami. Schwytano harpunem okaz wieloryba długośc 69 stóp i około 70 ton wagi, a kapitan okrętu z przyrodnikiem postanowili spróbować siłę potwora. Robiono przeto próby i przekonano się, że złowiony wieloryb miał siłę około 150 koni, jakkolwiek w danych warunkach przy robieniu doświadczeń całej swej siły rozwinąć nie mógł.

Łowienie ryb zapomocą zwierciadła. M. William R. Lamb zrobił wędkarzom przyjemność podając sposób łapania ryb zapomocą lusterka. Pojedyńcze, podwójne, lub wieloboczne lusterko umieszczone jest na końcu sznurka, tuż przed haczykiem wędkowym. Jeżeli się ryba do wędki zbliży, to widzi swoją postać odbitą w lustrze, a myśląc, że to inna ryba chce ją ubiedz, chwyta chciwie za ponętę i jest złapaną.

Leśnictwo Zassów pod Czarną

rozsyła

za pobraniem pocztą lub koleją niżej podane **nasiona leśne.** — Cena za 1 funt — 50 dkgr.:
Jodła 30 kr., modrzew 60, sosna zwyczajna 1·40, sosna czarna 1·60, świerk 75, akacya i olcha po 30, głóg, jasion i jarząb po 20, brzoza, jawor, klon i orzech amerykański po 25, a wiąz i żarnowiec po 40 ct. Prócz tego poleca do kultur wiosennych 10,000.000 **sadzonek leśnych** i 100.000 **drzew parkowych, krzewów** i **roślin pnących** w stu rozmaitych gatunkach.

Cennik na żądanie odwrotną pocztą.

Setery Irlandzkie

będą do nabycia z końcem maja.

Zamówienia przyjmuje tylko do połowy kwietnia

ANTONI TÖPFFER

leśniczy w RAKOWEJ

o. p. NADYBY-WOJUTYCZE.

Fabryka

Główny Magazyn Broni i Przyborów myśliwskich i łowieckich

Alfreda Dzikowskiego

we Lwowie, ul. Karola Ludwika 1.

poleca na sezon polowań

najznakomitszą Broń myśliwską

własnego wyrobu

jakoteż najsłynniejszych fabryk angielskich, amerykańskich, francuskich, belgijskich, czeskich i niemieckich,

którychto jedyne zastępstwo dla Galicyi posiada

mianowicie:

Wrigtha w Birmingham	**Henrie Piepera** w Liege
Colta w Londynie	**A. Francottego** w Liege
Schmidt & Wesson w Londynie	**Rouge Fis** w Liege
	Collatha w Frankfurcie
Kanka-Kanka w Ameryce	**Dreysego** w Soemmerda

JEDYNY SKŁAD FABRYCZNY

Łusek nabojowych i Ładunków ostrych

akcyjnego Tow. w Pradze

sprzedaż hurtowna i drobiazgowa.

Olbrzymi wybór wszelkich przyborów myśliwskich, do konnej jazdy i szermierki.

C. k. sprzedaż wszystkich gatunków

Prochu strzelniczego.

Śrut twardy angielski.

Własna pracownia rusznikarska, wyszczególniona na wszystkich wystawach dyplomami i medalami przez Wys. c. k. Ministerstwo handlu, przyjmuje wszelkie w zakres rusznikarstwa wchodzące roboty, i wykonuje takowe z wszelką dokładnością i gruntowną znajomością — po cenach umiarkowanych.

Ilustrowane cenniki na żądanie bezpłatnie.

Galicyjski Bank kredytowy

wydaje

4% Asygnaty kasowe

z 30-dniowem wypowiedzeniem i

3½% Asygnaty kasowe

z 8-dniowem wypowiedzeniem,

wszystkie zaś znajdujące się w obiegu 4½% **Asygnaty kasowe** z 90-dniowem wypowiedzeniem oprocentowane będą **począwszy od dnia 1. Maja 1890 r.** po 4% z 30-dniowym terminem wypowiedzenia.

Dyrekcya.



Za doborową broń

MEDAL SREBRNY.



Pracownia rusznikarska

W. SZADKOWSKI & S. KOPCZYŃSKI

we Lwowie, pl. Bernardyński l. 1

poleca swoją

wypróbowaną broń myśliwską

wszelkich systemów.

Redakcya „Łowca" posiada jeszcze małe zapasy

Roczników „Łowca" z lat 1892, 1893, 1894

Każdy rocznik zbroszurowany kosztuje zł. 3·50.

Dwa roczniki razem **6** złr. — Wszystkie trzy razem tylko **8** złr. w. a.

Sekretarz i Skarbnik gal Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Św. Zofii l. 8.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.